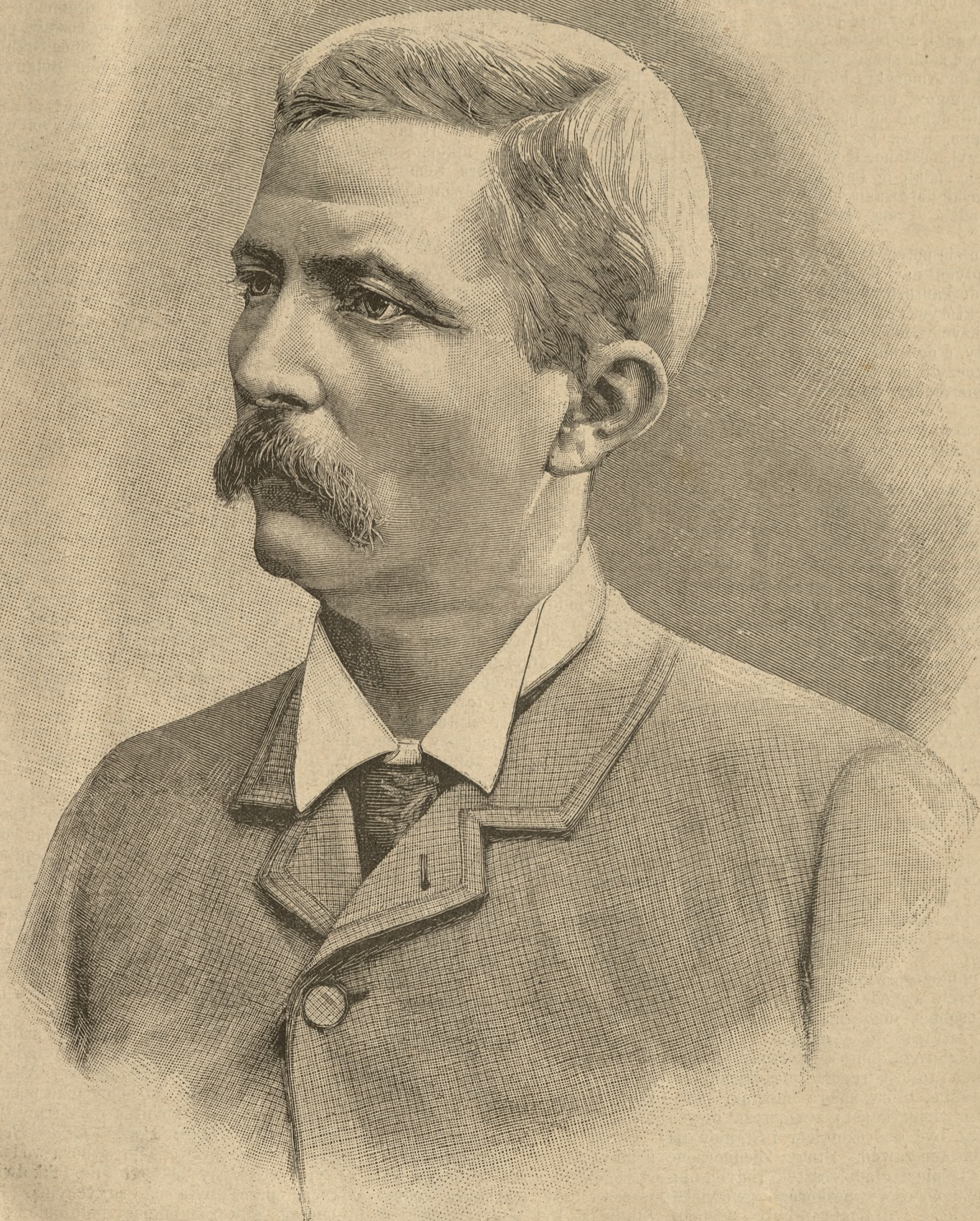


BLUSZKA.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Henryk Stanley.

HENRYK STANLEY.

Osobistością, budzącą obecnie największe może zajęcie europejskiego ogółu jest śmiały podróżnik afrykański, zdobywca w imię oświaty i cywilizacji europejskiej niezmiernych obszarów Afryki Środkowej, Henryk Stanley, inaczej Jan Rowland, Walijszyk z urodzenia, syn biednej wdowy, czy kobiety opuszczonej, tak ubogiej, że dziecko chowało się w miłosiernym schronieniu sierot w Saint-Asaph. Czytelnicy nasi znają już pierwsze koleje tego życia, pełnego przygód i czynów śmiałych wiedzą jak chłopię młode, trzynastoletnie (urod. r. 1840 w wiosce Denbigh) już uczuło w sobie pragnienie ruchu, pragnienie przestrzeni szerokich, które tworzy awanturników lub ludzi wielkich. Chłopak zbiegł matce z domu, dostał się do portowego miasta, pragnąc się dostać na okrętowego chłopca, ale pierwszy krok w życiu był zawodem. Za mały był, za szczupły, i nie chciano go przyjąć, ale on już nie cofnął się w tył. Trzy lata pracował w porcie, przenosząc pakunki, spełniając posyłki — ciulając grosz, aby zdobyć sobie sumkę potrzebną na opłacenie przewozu do Ameryki i był już bliskim tego celu — kilka szylingów brakowało już tylko, gdy nagle w porcie ukazał się parowiec płynący do Nowego Orleanu, a że to były właśnie strony o których marzył, postanowił więc iść na próbę losowi. Udał się śmiało do kapitana, oddał mu co miał, prosił o łaskę darowania mu reszty, co obiecywał wynagrodzić pracą zdwojoną, i — udało mu się.

Udawalo mu się potem już wciąż: nietylko nie zginął, ale wypłynął na wierzch. Po pewnym czasie dostał się do kantoru bogatego przemysłowca Stanley'a, w którym znalazł opiekuna, przybrał go ojca; ten użył mu swego nazwiska, zamyslał dać i cały, a ogromny majątek, lecz śmierć, która go zaskoczyła bez testamentu, udaremniła ten zamiar i sierota znowu został zostawiony siłom swoim.

Ale nie zbrakło mu ich. Radził sobie jak mógł i poradził tak, że nie przepadł. W 1861 r. gdy wybuchnęła wojna Południa z Północą, wszedł do wojska Konfederatów: w bitwie pod Pittsburgiem, w Kwietniu 1862 r., został wzięty do niewoli, że zaś Północni uznali Konfederatów za zdrajców, rozstrzelali więc jeńców; on przecież ocalał — uciekł i zbieg tropiony przeżył wieloaktowy dramat, w którym nędza, głód, nieustanna trwoga o życie, grały rolę okrutną, aż istnienie takie stało się w końcu niewytrzymalne. Postawił je też na kartę w grze z losem: zaciągnął się śmiało do marynarki Federalnych i tam, wszedłszy na prostego majtkę, tak prędko wybił się na wierzch, że w 1863 r. kapitan okrętu uczynił go swoim sekretarzem. W bitwie morskiej, zaszczyt wkrótce, zdobywa sobie Stanley stopień oficera i w 1865 przybywa na wody tureckie z okrętem swoim, który pełnił tam służbę krzyżownika, i prosi wtedy o urlop.

Otrzymuje go i puszcza się — do Azyi Mniejszej.

Ale to nic! Ptak ma już teraz rozwiązane skrzydła, młodzieniec pozyskał środki swobodnego rozrządzania sobą i syn wdowy przybywa do chaty matki ubogiej, która intuicyjnie niemal poznaje go i nie przeklina, ale błogosławi; on przecież już nie może utrzymać się spokojnie przy jej sercu, w jej zagrodzie walijskiej. Upieczony, pobłogosławiony, wnosi w jej ubogie, samotne życie wygodę dostatku, ale jak ten ptak, który osobne już gniazdo mieć musi, opuszcza ją, wraca do Ameryki i próbuje szczęścia z innego rogu obfitości Fortuny — zostaje dziennikarzem, to jest reporterem dziennikarskim, ale nie takim, który zbiera nowinki miejskie. Reporter amerykański, zwłaszcza owych czasów, musiał być podróżnikiem i Stanley dla tego obrał sobie ten zawód. Stany Zjednoczone dokonywały właśnie zagłady resztek Indian niepodległych: tępieno czerwonoskórego człowieka, dziedzica tej ziemi, i dramata to były — dramata

okrutne i bezbożne, mordy Kainowe i Stanley rozwinął taką siłę i dramatyczność w opisach, taką poezią i malowniczość w obrazowaniu natury pierwotnej, której szukał samotnie w głębi nieubitych jeszcze szlaków cywilizacji, że talent jego pisarski zyskał sobie odrazu rozgłos i sławę. Został korespondentem najpierwszego dziennika w Nowym Yorku na warunkach bardzo korzystnych i, jak zawsze dzieje się z ludźmi wyższej inteligencji — wyższego polotu ducha, rozszerzył sobie ramy za wodowego obowiązku, podniósł go i uszlachetnił. Jego wyprawa na odszukanie Livingstone'a, który zapuścił się był gdzieś daleko w głąb niezbadanego jeszcze wnętrza Afryki, stała się wyprawą wielkich odkryć: najpierw jeziora Tanganika: *Wielkiej wody*, w której okolicach spotkał Livingstone'a: siwego „Musanga“: *białobrodego*, który przecież nie chciał się cofnąć ze stanowiska przed dokonaniem zamierzonego dzieła: oznaczenia źródła Nilu. Zawiązała się między starcem a młodzieńcem przyjaźń — stosunek jakoby ojca do syna, i wśród wycieczek, czynionych razem w okolice, powstała w umyśle Stanleya pierwsza myśl podróży przez cały ląd Afryki. Livingstone mówił mu też o potężnej arterii wodnej przepływającej wskroś Afrykę Południową, nie znanej jeszcze, niezbadanej przez nikogo a o której powziął niewyrażną wiadomość od Arabów, wdzierających się tam okrutnymi zagonami na łowienie dzikiego tych stron człowieka — po towar żywego hebanu, którym zasilano amerykańskie targi niewolników.

Livingstone znalazł w 10 lat potem śmierć na nieznanych podówczas nikomu, nawet łowcom ludzi, wybrzeżach jeziora Bemba. Dla Stanleya, który dał wieść o nim światu, kończy się pierwszy okres jego podróży, ale nie wróci on już na spokojne używanie życia i sławy w zakresie swoim zdobytej. We Wrześniu 1877 r. jest już znowu w Zanzibarze, a teraz rozporządza wielkimi środkami: ma orszak złożony z 367 ludzi — ma obok siebie towarzyszy, Europejczyków, wszelkie przybory i narzędzia do badań naukowych, a cały świat cywilizowany zajmuje się nim i czytelnicy nasi znają dzieje szczegółowe tej podróży obfitej w odkrycia ważne dla wiedzy człowieka, o globie, na którym żyje, odkrycia jezior: Wiktorya Nyanza, Albert Nyanza, wielkich wodozbiórów, niemal śródziemnych mórz lądu afrykańskiego a dalej zorganizowanych już w społeczeństwa z władzą państwową ludów czarnych. Odkrywa on w 1876 r. rzekę Kongo; odkrywa dalej jej potężne dopływy i posuwa się z jej nurtami, przebywa potężne katarakty, nazwane potem przez geografów „Stanley Falls“, na szalupie, którą w czasie podróży lądowej ludzie jego orszaku musieli dźwigać, rozebraną na części. Ale łopił celu: zdeterminował bieg Kongo, której dzikie i jak cała natura afrykańska, niegościnnie stawiające się względem europejskiego człowieka fale, zabrały mu ostatniego towarzysza białego. Puścił wolno na jej wody statek, na którym ją prześlęgiwał, przebył w podróży lądem nieopisaną nędzę i tortury głodu takie, że już raz ułożył się z towarzyszymi na ziemi na odpoczynek ostatni — na skonanie ciche. Jedyń człowiek biały, który wytrzymał te trudy, dotarł przecież do zamierzonego celu — do brzegów Oceanu i największe zagadnienie geograficzne XIX wieku zostało rozwiązane: te miejsca środkowej Afryki, które dotąd na mapie świata przedstawiały pole białe z napisem: tajemnicza!... teraz już miały trakt wskroś wytknięty.

Stanley dokonał wielkiego dzieła a jest tu przytem jeden szczegół wzruszający, który maluje obok pracownika człowieka Z 370 czarnych, którzy tworzyli karawanę, zostało teraz tylko 109 osób; otóż Stanley nie chciał puścić ich tu na wolę losu, wywiedzionych daleko od miejsc rodzinnych Zabrał ich ze sobą na parowiec angielski, opłynął Przylądek Dobrej Nadziei i odwiózł do Zanzibaru, zegnany łzami wdzięczności. Świat cały zajmował się odkryciami dokonanimi w Afryce. *Międzynarodowe Stowarzyszenie Afrykańskie* zawiązało się w 1877 r. więc wtedy jeszcze, gdy gościnnie wodny, odkryty przez Stanleya, był pokryty cieniem tajemnicy, gdy

przecież Stanley dał znać światu o tej wielkiej drodze, która przecinała Afrykę Zwrotnikową. Król Belgijski, stojący na czele działań związkowych Towarzystwa, wezwał go do siebie. Zrozumiano ważność tego odkrycia, powstał zamiar utworzenia Wolnego Państwa Kongo i Stanley po widzeniu się w Bruxelli z królem Leopoldem, po naradach z nim odbytych jako po raz trzeci wrócił do Afryki; teraz przecież generalny agent komitetu studyów nad górnem Kongo, a rzeczywiście z celem zakładania stacyi, zawierania układów z krajowcami, nabywania ich terytorów. Stanley rozpoczął budowanie rzeczy wielkiej, dawał pod nią grunt pierwszy — już nie reporter *New-York Herald'a*, lecz współpracownik dzieła, mającego przed sobą ogromny cel cywilizacyjny.

Ale niemniej człowiek dawny nie ginie — nie umiera w nim: zanim stawił się w Bruxelli na posłuchaniu u króla Leopolda, pospieszył przed inny majestat: przed majestat uczucia i świętego człowieka obowiązki — do matki. Wioska walijska była pierwszym miejscem w Europie gdzie się spać położył do łóżka, jak napisał w pamiętniku swoim. Nie zapomniał on wśród wielkich spraw świata o przykazaniu bożem szanowania ojca i matki i osiągnął też błogosławieństwo, złączone z tym nakazem: będzie długo żył na świecie, przez sąd, które życie jego zostawi po sobie.

Pierwszym czynem Stanleya, jako rekrutującego kommissarza króla Belgów było założenie stacyi, mającej się stać stolicą nowego państwa: Leopoldville, co przecież nie przyszło mu bez walki i trudów w powstrzymywaniu nieprzyjaznych i służnie względem białego człowieka podejrzliwie usposobionych krajowców. Ale nie można było mieć przed sobą przestrzeni zakrytych tajemnicą niewiadomości. Stanley zatem puścił się teraz w dal nieznaną na falach innej, nieznaną dotąd wody, rzeki Kongo, wielkiego dopływu Kongo z lewej jego strony i odkrył jedno jeszcze duże, przepysznie rozlewające się jezioro, mające 1.300 kilometrów kwadratowych, które nazwał, Jezioro Leopolda II. Na prawym brzegu Kongo spotkać: by się musiał z pionierami francuzkimi, którzy to już się usadowili: skierował się zatem całkowicie w stronę przeciwną, gdzie przecież staczać musiał ciężkie walki z Arabami, rzucającymi się zajądł na każdego, kto im wchodził w drogę, — przeskądzał w okrutnym dziele handlu niewolnikami. Stanley urządził mimo to stacye katarakt, które były etapami cywilizacji w górze Kongo — pracował lat pięć, w 1884 r. przybył znowu do Europy, oddając Królowi Belgijskiemu klucze ogromnego państwa, mającego szerzyć wśród okolic tamtejszych panowanie prawa i cywilizacji europejskiej, gdy nagle w 1886 r. rozległ się krzyk, wołający na pomoc w stronę inną, gdzie podobne interessa i idea tasama zostały zagrożone. Juncker, jeden z towarzyszy Gordona w Sudanie, wzywał ratunku dla Emina Baszy, inaczej dr. Schnizlera, rodem ze Szlaska Austriackiego, który od 1876 r. zostawał w służbie Egiptu, zrazu jako lekarz, następnie jako podróżnik i badacz wybrzeży Wiktorya-Nyanza, wreszcie pod zwierzchnictwem Gordona był rządcą prowincyi Równika.

Przestrzeń to prawie tak wielka, jak cała Europa; przecież Emin Basza umiał w niej rządzić dobrze, wprowadzając porządek cywilizacyjny. On jeden zdołał się oprzeć nawale powstania ludności miejscowych, które Mahdi fanatycznie do mordu Europejczyków pobudził. Miał obok siebie dwóch Europejczyków. Jednym z nich był Casati, Włoch, niegdyś kapitan bersagliarów, drugim dr. Juncker, którego głos rozległ się teraz, wzywając Europy — wzywając cywilizacji na pomoc przeciw barbarzyństwu, które chciała zniszczyć pracą lat wielu, okupioną kosztem strat takich, jak męczeńska śmierć Gordona.

Opuszczenie go było wstydem dla Europy i Chrześcijaństwa; Anglia zwłaszcza poczuła się teraz do obowiązku pomocy i postanowiła wyprawę; komitet działający tu zawiązał się w Londynie *Emin Pacha Relief Expedition Committee*, a gdy przyszło do wyboru wodza, Stanley został wybrany jednogłośnie, jakkolwiek prasa angielska nie była mu przychylną. Nie zważali na to ludzie rozumiejący położenie i znający człowieka. Znaj-

dował się on wtedy w Ameryce; wysłano do niego telegram, na który odpowiedział natychmiast, że przyjmuje misję powierzoną sobie. Było poniekąd prawdą, co podnoszono głównie przeciw wyborowi jego; znużonym i spracowanym już być musiał, ale był jedną z tych natur gorących, z tych ludzi, którym siły wracają zawsze, gdy jakaś myśl wyższa, jakieś mocniejsze serca uderzenie podniesie im ducha w piersi. Przybył też natychmiast: municypalność Londynu przyjęła go uroczysto i na zebraniu w Guildhall przyznała mu honorowe obywatelstwo miasta Londynu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGA WĘDKA.

Przepowiednie o dobrych zabawach w krótkim karnawale dotychczas nie bardzo się sprawdziły, z tej prostej przyczyny, że tych zabaw, jakby prawie nie było. Rozumie się: mówię o zebraniach prywatnych; publiczne rozpoczął zeszłej Soboty dopiero bal w Resursie Kupieckiej na korzyść Schronienia dla nauczycielek.

Początek tedy zrobiony, pierwsze hołubce odezwały się na sali balowej, a po nich już coraz częściej będziemy słyszeli ich odgłosy, może aż do białego ranka.

Dotychczas mamy zapowiedzianych kilka większych balów, które udadzą się z pewnością, bądź dla tradycji, bądź dla szczególniejszych wabiaków.

Na dzień 21-go b. m. naznaczono „zabawę kwiatową“ w Resursie Obywatelskiej; nie tyle podobno prawdziwe kwiaty, ile cały bukiet rozkwitających pączków panińskich, które na tej zabawie poraz pierwszy mają się ukazać, daje jej tę woniejącą nazwę.

W dwa dni później ma się odbyć bal na „Przytulisko“: jest to instytucja, tak rzadko przypominająca się publicznej ofiarności, że niepodobna jej odmówić, skoro raz do roku zaprasza nas... do tańca.

W dniu 9-go Lutego hr. Walewscy urządzają „bal perkalikowy“ na korzyść Towarzystwa osad rolnych, które coraz więcej potrzebuje funduszy, a coraz trudniej przychodzi mu je zbierać.

Wspominałem swego czasu o uznaniu godnym projekcie, który podobno dopiero teraz da się urzeczywistnić, mianowicie: o założeniu przytułków poprawczych dla małoletnich przestępczyń, dla dziewcząt skazanych na karę więzienną, opuszczonych i zaniebanych, narazonych najczęściej na zupełne zatracenie po wstąpieniu na manowce życia.

Jakim niebezpieczeństwem społecznym, jakim rozkładowym pierwiastkiem bywa w ludzkości zepsuta i upadła kobieta, nie potrzeba nikomu z dojrzałych ludzi tłumaczyć; wszelkie starania do podparcia tych słabych istot zachwianych, do sprowadzenia zbłąkanych owieczek na drogę poprawy są zasługą społeczną i obowiązkiem humanitarysty.

Potrzeba takiego przytułku dawała się już od dawna uczuwać u nas. Obecnie może on powstać o tyle, o ile Towarzystwo osad rolnych będzie rozporządzało środkami potem.

W roku zeszłym „bal pudrowany“, choć niezbyt liczny, przyniósł na ten cel sporą sumę z biletów wejścia na galeryę; w roku bieżącym spodziewać się można równie znacznego zasiłku, bo chyba oprócz galeryj i sala będzie zapełniona.

Bal „perkalikowy“ bowiem zastosowany ma być do... ciężkich czasów i do względów oszczędności; panie, zamiast w wystawnych toaletach, wystąpią w gustownych, ale lżejszych dla ojcowskich i męzowskich kieszeni, sukniach płóciennych.

Jestem przekonany, że w świeżutkim perkaliku, który się przyda, nie na raz, bo na sezon letni służyć może największym nawet strojnisiom, każda panna i każda młoda mężateczka wyglądać

może bardziej uroczo, niż w jedwabkach, koronkach, fularach i atlasach.

Były czasy, nawet nie tak dawne, kiedy panienkom nie wypadało stroić się i kłaść na siebie kosztowniejszych materii, podobniejsze też były do naturalnych, niż sztucznych kwiatów; moda nie zbytowała, nie kusiała do marnotrawstwa, a wdzięk świeżej młodości, czar siedemnastu lat starczył na wszelkie ozdoby i... chłopaki tracili głowy i serca prędej, niż dzisiaj.

Panny nie przyzwyczajały się tak wcześniej do strojenia się, do zbytów, nie wyczerpywały tak od razu wszystkich wrażeń kobiecego życia: zostawiały sobie coś na drugą fazę, na stan małżeński. Ta pierwsza suknia jedwabna, pierwsze klejnoty w uszach i na szyi, pierwszy kapelusz mężatki, miały swój szczególniejszy urok; dzisiaj wyszło to z mody.

Panien w towarzystwie często odróżnić nie można od mężatek; ubierają się, czeszą, zachowują niemal jednakowo. Nie wszystkie, co prawda, ale coraz więcej ich przybywa w tym rodzaju.

Wracajmy jednak do naszej kroniki balowej. W przyszłą sobotę w Resursie Obywatelskiej tańczyć mamy na korzyść biednych mieszkańców Pragi, nie tej nad Wełtawą, ale tej bliższej nad Wisłą, którą sobie chyba pierwszy raz w celu filantropijnym przypomniała Warszawa.

Przedmieście to zamieszkałe jest przez ludność biedną, robotniczą przeważnie, pośród której mnóstwo kryje się nędzy.

Bardzo rzadko, chyba po wielkim pożarze, albo po wylewie, Warszawa dobroczynna przechodzi przez most żelazny z datkiem, jałmużną i pomocą do swojej sąsiadki Pragi; słusznie też przyszedł komuś dobry pomysł do głowy urządzenia balu i zebrania za jego pośrednictwem trochę groszy dla poratowania biedy na Pradze.

A teraz... wszystkie młode serduszka uderzą generał-marsz, kiedy wymienię datę 29-go Stycznia; wiecie czemu?... bo to data balu studenckiego, balu samej młodości, pierwszych występów dorażających córek, pierwszych dekolcejków i znajomości, zawieranych w walcu lub kadrylu.

Chowa się po nim najdłużej kwiatki zasuszone w książkach i sexternach, karneci ki do tańca wśród panińskich drobniaków i wspomnienia pierwszych wrażeń, pierwszych strzelistych spojrzeń, pierwszych westchnień, pierwszych komplimentów i... siarczystego mazura.

Cieszcie się młodzi!

O wszystkich wieczorach, wieczorkach resursowych i klubowych nie wspominać, ale mam jeszcze dwa bale — „baliska“ powinienem powiedzieć — do wymienienia, na których niezaprzeczenie znajduje się *tout Varsovie*, jakby powiedzieli styliści „Kuryera.“ Pierwszy to bal szpitalikowy, bal arystokraty, najpiękniejszych toalet, wystawa rodzinnych klejnotów i kosztowności, koronek, haftów i brylantów, wszystkich dziełeczek i dziełców błękitnej krwi, pięknych nazwisk i znacznej fortuny.

Sama dystynkcyja, sama francużczyzna, sama barwa high-life'u i woń „Jockey-clubu.“

Ile razy jestem na balu szpitalikowym, mam wrażenie Lawru, Tuilleryów, Wersalu, w mniejszym stylu i mniejszych rozmiarach, i dziwię się, że mi przy wyjściu mój wygłanowany lokaj nie otwiera drzwiczek do mojej własnej karety i nie odwozi mnie do mego własnego pałacu: tak przesiąkam atmosferą wytworności, szyku, bogactwa i arystokratycznej dystynkcyi.

Drugi bal będzie świetny, i ciekawy dla lubiącej się dziwić i przyglądać Warszawki; uświetnią go... kostiumy.

Jestem pewny, że galerye sali ratuszowej stękać będą pod ciężarem ciekawych.

Dochód z balu przeznaczony jest na zasilenie funduszy „Macierzyństwa“; bal sam ma być niby zwyczajnym balem, ale ukazuje się na nim pewne kółko towarzyskie w kostymach, w których poprzednio tańczyć ma na zabawie prywatnej. Nikogo nie zobowiązuje ten wzgląd do przebierania się koniecznie, ale... jestem, niestety, pewny, że — będą się przebierały.

Naturalnie, mówię głównie o płci pięknej, dla której kostium jest zbytkiem o wiele łatwiej-

szym; mężczyzna, chcąc się przebrać, musi ponieść specjalny wydatek, który mu się nigdy nie zwraca. Kobieta łatwiej kombinuje najbardziej fantastyczny kostium, z którego później jej krawcowa użytkuje materiał do innej toalety.

Próżność mężka musi zaś drogo opłacać owych kilka godzin udawania hiszpańskiego granda, francuzkiego markiza lub włoskiego patrycyusza z czasów Medyceuszów. Nie wiedzieć, co zrobić potem z tym kostiumem, w którym na drugi dzień po balu wziętoby wczorajszego bohatera wieczoru za waryata.

Wyczerpałem tedy prawie całą listę główniejszych uciech karnawałowych, nie wspomniawszy o trzeciej maskaradzie, tradycyjnie pełnej, gorącej, i... nudnej, o balu maskowym z tombolą na kasę pożyczkową artystów i urzędników teatralnych, tradycyjnie pełnej, ożywionej i mniej nudnej, o maskaradach projektowanych na lodzie u cyklistów, o ślizgawkach przy iluminacji i dźwiękach orkiestry i t. d. i t. d.

Karnawał tedy zapowiada się interesująco, pomimo wyrzekań na rok ubiegły, na fatalne czasy, na sromotne dziury w kieszeniach i biedę powszechną.

Na ten temat prowadziłem właśnie niedawno temu rozmowę z pewnym starym zrzedą, który się zżymał na wszystkie dobroczynne bale i hulanki, mówiąc:

— Do czego to podobne!... powiadają, że bieda wszędzie aż piszczy, a tu bal za balem urządzają! Tańce im w głowie i zabawy, stroją się i sztafują, jak za najlepszych czasów.

— Panie radzco — przerwałem mu — wszystko w porządku.

— W jakim?... w waryackim chyba!

— Broń Boże, w naturalnym i logicznym. Nikt nie przeczy, że jest bieda, ale im więcej tej biedy, tem bardziej trzeba jej pomagać; w karnawale najłatwiejszym środkiem zebrania publicznego grosza: jest bal; urządzi się przeto filantropijne hulanki, a że tych celów, wołających pomocy, jest dużo, więc i balów jest więcej.

— To ty to nazywasz filantropią? — oburzył się na mnie mój staruszek — dawajcie waszym biednym, waszym protegowanym instytucjom dzielą część tego, co was kosztuje jedna taka hulanka, a więcej z tego będzie pożytku, niż ze wszystkich dochodów balowych.

Uśmiechnąłem się, co obraziło widocznie mego radzco.

— Widzisz, śmiejesz się!... a przynajmniej wy, ludzie pióra, co tam skrobiecie wasze duby smolone dla publiczności, powinniście w tym względzie....

— Nie posługiwać się wyszarzanymi frazesami, — dokończyłem za niego.

— Jak to frazesami?

— Zaraz się wytłómaczę. To, co pan radzco mówi o ofiarności publicznej, o poświęceniu części karnawałowych wydatków na dobroczynne cele, jest piękną teorią, ale w praktyce nie da się najpierw tak łatwo zastosować; powtóre, dopięłoby tylko cząstkowo swojego celu. Bieda jest ogólną, cierpi z jej powodu mniej lub więcej rzemieślnik, wyrobnik, sklepikarz taksamo, jak fabrykant, przemysłowiec, kupiec, modniarka, restaurator i t. p. Gdybyśmy tylko wspomagali naszymi datkami instytucje filantropijne i najuboższych, coby się stało z tymi wszystkimi, którzy dziś przy tych celach korzystają i choć trochę popierają swoje zachwiane interesy?... musiałyby bankrutować magazyny, a przynajmniej w ogólnym zastojem ograniczyć się bardzo, kupcy, rzemieślnicy, szwaczki, ogrodnicy, rękawicznicy, restauratorzy, cukiernicy, muzykanci i ogromna moc ludzi, zarabiających w tym ogólnym ruchu na chleb powszedni. Jedno zahacza się tu o drugie; filantropia bowiem nie jest jedynie interesowaną osobą w tych wszystkich przedsięwzięciach, balach, rautach, koncertach, teatrach, i t. p. pre-textach do poparcia dobrego celu publicznego. Korzystają przy niej potrosze i inni, a o tych innych właśnie w chwilach większego zastojem głównie chodzi, abyśmy wszyscy materialnie nie zmarnieli.

Mój radzca zmieknął nieco, szukał argumentu widocznie, aby mnie przekonać, i po chwili wybuchnął:

— Tak, to byłoby słuszne, ale czy dlatego, aby jedni nie upadli, mają się drudzy ruinować?... aby zastój rozruszać, trzeba do tego zbytków, marnotrawstwa?... piękna teoria!..

— Kochany panie radzco, to znowu inna kwestya — rzekłem — Nikt zbytku nie pochwała, chociaż ma on, ekonomicznie rzeczy biorąc, równie swoje racje, ale pojęcie zbytku bywa względne. To, co dla mnie byłoby wysiłkiem finansowym, nieoglednym wydatkiem, karygodnym marnotrawstwem, — dla kogoś zamożniejszego będzie tylko zwyczajną normą wydatku i nie przyniesie mu uszczerbku. Gdybym ja palił hawańskie cygara, a przy tem nosił latane buty, robiłbym zbytek i nie umiał się rzadzić, ale gdy je pali bogaty finansista, byle ich nie zapalał stobrubłówkami dla szyku — wszystko w porządku. Ja nie zbytkuję, poprzestając tylko na papierosach, on nie zbytkuje, zaciągając się swemi Bockami, bo wtedy, nasze wydatki ustosunkowane są do naszych dochodów i naszych środków. Tak samo, gdy idzie na bal księżna X., choćby w kostiumie z pereł uryańskich, jeżeli je ma — wszystko w porządku; tylko, gdy żona średniego przemysłowca sprowadza umyślnie toaletę z Paryża, aby dorównać pani hrabinie w szyku, — nie jest w porządku i nazywa się zbytnią, marnotrawczynią, a kiedy do tego, dla nadania sobie pozorów wielkiej pani, ubiera się za pieniądze, pożyczone przez męża, — w takim razie zasługuje na potępienie.

— Ba, otóż widzisz — przerwał mi tryumfująco stary radzca — złe upatruję ja z jednej strony w złym przykładzie, a z drugiej w małpiarstwie, w pięciu się ponad dozwoloną miarę, w forsowaniu ograniczonych środków, aby dorównać wyższemu i zamożniejszemu. *Quod licet Jovi, non licet bovi.* A te wszystkie nasze bale, zabawy kostyumowe i inne szopki kosztowne wiodą na pokuszenie słabe niewiasty, które znów wodzą za nos słabych mężów i ojców i dla głupiej próżności wyciągają na zbytki. W tem, widzisz, leży demoralizacya i o nią mi chodzi. Jedni gorszą drugich, jedni drugich ciągną na fałszywe drogi. O zabawę samą mi nie chodzi: owszem — potrzeba sobie humor poprawiać, potrzeba się rozerwać, pośmiać trochę, nawet poskakać: to zdrowo, ale nie trzeba tego zbyt drogo opłacać. Zresztą, co do tej zabawy waszej dzisiejszej, daj pokój!.. przecież ja chodzę jeszcze między ludźmi, bo mnie zapraszają, to widzę, jak wy się bawicie. Jako żywo, nigdy nie siadałem z kobietami młodemi do kart, a dzisiaj mnie sadzają do winta z mężatkami i pannami. Dawniej czasem stare baby grywały maryszka ze starymi dziadami, ale wówczas ja się temu tylko przyglądałem, bo mnie ciągnęło do młodych, a dzisiaj!.. wstydźcie się, w każdym salonie szulernie, albo nudy śmiertelne.

Radzca wpadł na temat, który prowadzi do gderania: urywam przeto dalsze sprawozdanie z naszej rozmowy przez litość kronikarza, niechęć tego zanudzać swych czytelniczek.

Ach, one wiedzą o temacie tym z doświadczenia i z rezygnacją przystały już na ziewanie obowiązkowe za wachlarzem!.. Widuję nawet coraz częściej na wieczorach i takie, które ust wcale nie zasłaniają, bo to nikogo już nie dziwi i nie gorszy.

Rażącym kontrastem karnawałowej uciechy w Warszawie są sensacyjne wiadomości o samobójstwach, mnożących się w sposób niebywały; każdy dzień prawie przynosi nowy fakt rozpaczliwego zamachu na własne życie. To rzuca się pod lokomotywę inteligentny i ceniony człowiek, ówdzie skacze z mostu żelaznego na Wiśle starzec kilkudziesięcioletni, tam znów truje się z miłości młodzieńca i śliczna córka kupca, gdzie indziej rzuca się z okna trzeciego piętra służąca i zabija się na miejscu.

Każdy z tych krwawych epilogów poprzedzał dramat jakiś, każdy był wynikiem rozstroju duchowego lub fizycznego; we wszystkich wypadkach śmierć miała być wybawieniem jedynie od cierpienia, od ciężaru życia, do którego dźwignia nieszczęsnym ofiarom sił i chęci brakło.

Obawa przed cierpieniem, przed odpowiedzialnością, przed, obowiązkiem popycha słabych do samobójstwa, spełnianego w rozdrażnieniu, w chwilowym porwywie szału, które rozstrojenie nerwy wywołały; siły zapanowania nad sobą brak, poszanowania dla praw ludzkich i boskich brak: jakżeż, czemżeż może się podeprzeć zachwiana bolesnym ciosem dusza człowieka, którego upuściły takie dźwignie moralne, jak wiara i nadzieja?..

Bardzo smutne i poważne reflexy budzą się na widok tego rodzaju faktów, które nie stanowią jakichś oderwanych objawów, ale stoją w związku z całym kierunkiem moralnym naszej epoki, z całym organizmem duchowym, przechodzącym jakąś chorobliwą fazę rozstroju i rozdrażnienia.

Minie to, jak tyle innych chorób wieku minęło i tyle zaburzeń ducha w ludzkości, ale złego wyrządzi wiele i ślady po sobie pozostawi.

Z bardzo wielu danych wnioskować-by można, że wchodzimy w epokę pewnej umysłowej reakcyi i że na schyłku bieżącego wieku zajdzie jakiś ważny zwrot w przekonaniach, poglądach i dążeniach dzisiejszego pokolenia.

Zwrot ku ideałom, tak gwałtownie napadany, tak zdyskredytowany przez pewne szkoły i kierunki nowoczesnych realistów, staje się już dzisiaj widocznym w literaturze i sztuce zachodniej Europy, — a miłość ku nim i zatęsknienie przesłanknie powoli w serca tłumów, którym sama sucha, trzeźwa, szara proza rzeczywistości za wszystko nie starczy.

Jakaś jutrzienka nowego romantyzmu zdaje się świtać daleko na widnokręgu, tylko romantyzm ten nie będzie więcej rozwichrzonym marzycielstwem, fantasmagorią życia, oderwaniem się od ziemi i lataniem pod obłoki na Ikarowych skrzydłach; będzie to neo-romantyzm, który przeszedł szkołę doświadczeń, wygnania, ekskomunikacyi z życia i literatury, pogodził się z rzeczywistością i nauczył syntezy ducha i materji.

Z dwóch kierunków krańcowych, któreśmy przechodzili w wieku bieżącym, wyłonić się musi trzeci jakiś pośredni, godzący oba, jako ich wypadkowa.

Wyznaję otwarcie, że chciałbym dożyć tej epoki w Europie, choćby mi w niej już tylko — umrzeć pozostawało...

Pozostawiając sobie powyższy temat na później, sięgam znowu do moich kronikarskich notatek i pod „literaturą“ znajduję podkreśloną wiadomość o zamierzonym wydawnictwie wyboru dzieł Władysława Syrokomli.

Zbiorowa edycya poezji naszego serdecznego lirnika, podjęta swego czasu na korzyść pozostałej rodziny, została już dawno wyczerpaną; pomysł nowego, skróconego wydania w tym samym celu uważam za szczęśliwy i śmiem mu wróżyć powodzenie.

Z kuryerowej wzmianki dowiedziałem się też, że wyjść mają w jednym zbiorze cenniejsze kroniki najdowcipniejszego z naszych felietonistów, Bolesława Prusa.

Bardzo słusznie!..

Felieton jest Mołochem pochłaniającym mnóstwo talentu, myśli i pisarskiej pracy, zwłaszcza, gdy go się przez całe dziesiątki lat piórem swym zasila.

Jeżeli czyje, to z pewnością kroniki Prusa zasługują na to, aby je uratowano od zagłady, od zatopienia bez śladu w dziennikarskiej bibule. Nie wszystkie zapewne mają równą wartość, ale znajdują się między niemi prawdziwe perły humoru, dowcipu, potrzeby ciekawych i oryginalnych poglądów, mających trwalszą, niż jednodniowa, wartość.

Przez lat kilkanaście w „Kuryerze Warszawskim“, w „Nowinach“, a obecnie w „Kuryerze Codziennym“, Prus, jako felietonista pracował i pracuje w swoim rodzaju bez rywalizacyi; w jego kronikach tygodniowych ułożył się spory materiał, który, nietylko dla oceny talentu i ewolucji umysłowych samego autora ma wartość ważniejszą, ale służyć może jako ciekawy przyczynek do historii drobnowidzowej ostatnich lat kilkunastu społeczeństwa, wśród którego utalentowany kronikarz i obserwator stał „na strażnicy“, notując wybitniejsze fakta, jeśli nie zawsze

w ściśle krytycznym, to zawsze w bardzo oryginalnym, oświetleniu.

Taki zbiór felietonowy byłby u nas rzadkością; oprócz kronik nieodżałowanej pamięci lwowskiego humorysty i polemisty Jana Lama, nie mamy drugiej podobnej książki. Tymczasem za granicą w Niemczech i we Francji zwłaszcza cenniejsi kronikarze wydali mnóstwo tego rodzaju zbiorów, czytanych z wielkiem zajęciem często po raz drugi przez dziesiątki tysięcy tych samych czytelników, którzy je na świeżo w odcinkach gazet pochłaniali.

Swoim zwyczajem, pogawędkę niniejszą skończyć muszę nekrologiczną wzmianką, niestety!.. muszę zapisać nazwisko dzielnego artysty, którego śmierć zabrała po kilkudziesięciu latach życia cichego i pracy. We Lwowie przed dwoma tygodniami, zmarł podobno w szpitalu ś. p. *Fran-ciszek Tepa*, wyborny akwarellista, który ten rodzaj sztuki uprawiał już około roku 1850 i wyróżnił się niepospolitym talentem i znakomitą techniką jeszcze przed wystąpieniem na szerszą widownią Kossaka.

Obrazy jego malowane wodnemi farbami odznaczały się siłą kolorytu, poprawnością rysunku, wyrazistością charakterystyki.

Studia i portrety stanowiły specjalność nieboszczyka, w której mało kto mógł mu dorównać.

W młodszych latach podróżował, zwiedził Egipt, zkąd przywiózł sporą tekę szkiców. Na wystawach warszawskich ukazywały się od czasu do czasu jego prace, budzące zawsze podziw znawców i uznanie krytyki.

Cicho żył, cicho pracował i cicho zeszedł ze świata, ale pamięć jego i nazwisko w historii sztuki naszej zgłuchnąć nie powinno!..

Quis.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWAŁEWICZA

(Dalszy ciąg).

Na pierwszym piętrze, ponad kantorem fabryki, w którym pracowali oficjaliści firmy: „Wilhelm Fatt i Syn“, mieściła się kancelarya pana dyrektora, złożona z dwóch dość obszernych pokojów, do których prowadziło jedno osobne wejście schodami z sieni, a drugie po kręconych, lekkich, bardzo misternie wykonanych żelaznych schodach z kantoru na parterze.

Karol miał swój osobny klucz od zatrasku i wchodził niespostrzeżony, najczęściej wprost do swojego biura, z którego dopiero za pociśnięciem elektrycznego dzwonka, według umówionego alfabetu, przyzywał jednego ze swoich „ludzi“, pochylonych pilnie nad rajzbretem w oddziale technicznym, lub nad ogromnemi księgami rachunkowemi w dziale administracyjnym.

Zwykle zastawał na swoim biurku cały plik listów, referatów, rachunków, które mu systematycznie układał sekretarz do przejrzania i zdecydowania, póki z osobistym nie zjawił się raportem.

Ile razy posłyszano kroki na górze i trzaśnięcie drzwiami, od jednego do drugiego biurka w kantorze obiegało na rozmaite głosy podawane hasło:

— Oho, starszy przyszedł!..

„Starszym“ nazywano głównego szefa dla odróżnienia go od młodszego brata, dozorującego praktycznych zajęć w fabryce.

Biuro pana dyrektora urządzone było z powagą, ciężkie dębowe meble, skórą obita sofa, potężnych rozmiarów kassa ogniotrwała, na ścianach rozwieszono dyplomy uznania z rozmaitych

wystaw krajowych i zagranicznych, gazowe lampy z zielonemi umbrellkami, duże szafy na papiery i księgi, podręczna biblioteczka dzieł technicznych, wszystko nadawało solidną cechę kancelaryi młodego przemysłowca, która była właściwie tylko tymczasową siedzibą głównego szefa firmy.

Karol Fatt urzędował głównie w swoim własnym kantorze, urządzonej prawie z przepychem obok mieszkania, które zajmował.

Tam dopiero stworzył dla siebie odpowiednie tło i otoczenie; tam też załatwiał wszystkie ważniejsze sprawy, przyjmował interessantów w całej godności szefa wielkiej fabryki i człowieka, „robiącego miliony“...

Widok brata przy boku młodej towarzyski, zachmurzył był czoło Karola i zwarzył mu dobry humor, w którym zajechał przed fabrykę.

Zrzucając niedbale z siebie futro na jedno z krzesel, zaledwie spojrzął na stos przygotowanych papierów, usiadł przy biurku i trzy razy nacisnął guzik od dzwonka; potem wyjął ciężką srebrną papierośnicę ze złotym monogramem i wprawionym w jednym jej rogu miniaturowym zegarkiem, spojrzął na godzinę i zapaliwszy papierosa, na którego mundsztuku znać było również inicjały jego K. F. na znak, że specjalnie dla niego wyrobiła je fabryka tytoniu, zaczął się niecierpliwie przechadzać po ceratowym dywanie, zaścielającym całe biuro.

Wydawało mu się, że zbyt długo czeka na służącego, podszedł do biurka i poraz drugi położył palce na guziku elektrycznym.

Za chwilę, szybkie kroki dały się słyszeć na schodach i do biura wbiegł zdyszany chłopak w kubraku za świecącymi guzikami,

— Ja już szedłem, proszę pana dyrektora—zaczęła się usprawiedliwiać od progu—tylko pan sekretarz na dole mnie zatrzymał, bo były listy do kopiewania.

— Gdy pan Krzysztof powróci do fabryki, poprosić go do mnie natychmiast,—zadysponował Karol.—Pan Pęczyński jest w kantorze?

— Niema, proszę pana dyrektora.

— Gdyby nadszedł, powiedz mu także, że chcę się z nim widzieć.

— Dobrze, proszę pana dyrektora.

— A teraz zawołaj mi tu pana sekretarza i nie wpuszczaj nikogo.

— Słucham pana dyrektora.

Chłopak był widocznie wymusztrowany do wszystkiego i przyuczony do służbiściowości bezwzględnej.

Zwrócił się szybko, jak na sprężynie, ku drzwiom i miał wychodzić, gdy go Karol zatrzymał.

— Ale, ale... musisz jeszcze coś załatwić.

Nie zmieniając rozkazującego tonu, tylko zniżając głos nieco, rzekł:

— Przed siódmą pójdziesz do Ulrycha, tam, gdzie ostatni raz, pamiętasz?... weźmiesz poduszkę z kwiatów i odniesiesz do tegosamego woźnego z teatru, co wtedy.

— Rozumiem, proszę pana dyrektora.

I taksamo, jak za pierwszym razem, nie wdawać mi się w żadne gawędy, ani słówka: zkąd?... od kogo?... pamiętaj!

— A niech Bóg broni!... co miałbym gadać!...

Znać było po nim, że ma pojęcie o dyskrecyi służącego, którego pan swoim zaufaniem zaszczyca. Był już za drzwiami, kiedy go Karol po raz drugi zawrócił.

— Czekaj-no, Jasiek!... woźnemu dasz znowu pół rubla, a z teatru pójdziesz do mnie. Tak, jak ostatni raz, pamiętaj, w innym kubraku i czapce bez galonów—dodał jeszcze ciszej.

— Już ja wiem—konfidenyonalnie odparł totumfacki pana dyrektora.

W dziesięć minut później pan Kiemel, niski, łysawy blondyn w okularach, siedział naprzeciw swego szefa i z obowiązkowym sekretarza przedstawiał mu ważniejsze sprawy fabryczne, niebieskim ołówkiem kreśląc jakieś hieroglifowe notatki na brzegu listów i odczytywanych rachunków.

Konferencya trwała przeszło pół godziny i musiała dać same dodatnie rezultaty, skoro wszelki cień niezadowolenia zniknął z twarzy szefa; złotym ołówkiem, przyczepionym z całym pękiem

breloków do grubego łańcuszka, kreślił na czerwonej bibule szereg liczb w miarę zdawania sprawy przez sekretarza, summował je, odciągał i rachował w myślach, zacierając następnie przezornie pewne pozycje, jakby się obawiał, że czyjeś oko wyczyta z nich może tajemnicze jego manipulacje.

— No, no — odezwał się wreszcie, widząc, iż Kiemel papiery zaczyna składać do swojej teki—nie źle, prawda?... będziemy mieli gorące lato!

Sekretarz poprawił okulary i uśmiechnął się znacząco.

— Jeżeli się nam tak dalej sypać będą obstacki — rzekł — to zdwoimy produkcją w roku przyszłym. Pan dyrektor miał szczęśliwą rękę, obejmując interessa.

— Czekaj pan, to nie koniec—odpowiedział szef — Niech-no mi się uda przeprowadzić kilka planów moich w tych czasach: wypłyniemy na szeroką wodę.

— Fabrycznych? — odważył się spytać sekretarz.

— Niezupełnie, ale i fabryka na tem skorzysta—odparł pan dyrektor tajemniczo—będziemy mieli więcej do roboty, panie Kiemel.

— Daj Boże!

— Zobaczysz pan.

Na kręconych schodach dały się słyszeć kroki i niby zpod podłogi wyrastać zaczęła postać Krzysztofa Fatta.

— Jesteś jeszcze zajęty? — spytał brata, zatrzymując się na ostatnich stopniach, jakby nie chciał przeszkadzać.

Po twarzy Karola przemknęła tasama chmura, którą pomyślnie sprawozdanie o interessach spłoszyło z niej prawie bez śladu.

— Właśnie skończyliśmy; możesz wejść—rzekł, nie zwracając wcale głowy w stronę brata.

— Musiałeś zrobić długi spacer, skoro dopiero wracasz—dodał z odcieniem złośliwości, a wręczając sekretarzowi kilka podpisanych listów, skinął mu głową na znak, że odejść może.

Dwaj bracia zostali sami.

— Zamknij drzwi do drugiego pokoju — odezwał się po chwili starszy — mamy z sobą do pomówienia.

Krzyś posłusznie spełnił polecenie i stanął przy biurku z miną wyczekującą.

Karol, kreśląc kółka na bibule, zdawał się namyślać nad rozpoczęciem stanowczej rozmowy.

— Mój kochany—odezwał się po dłuższej chwili—przekonywam się, że moje uwagi, jakie ci robię, znaczą tyle, co groch na ścianę, a zdawałoby mi się, że jako młodszy, powinieneś słuchać dobrych rad, które ci daję.

Krzyś popatrzył na niego dużemi oczyma.

— Cóż tam nowego?—spytał.

— Nowego nic, ale właśnie o stare rzeczy mi chodził. Prosiłem cię, abyś zerwał stosunki z Pęczyńskimi, prawda?...

Podniósł głowę i spojrzął Krzysowi oko w oko. Po twarzy młodszego brata przemknął rumieniec; spuścił oczy i odrzekł:

— No, to co?...

— Jaktó co?... nie rozumiesz o co mi chodzi? Nie udawaj głupiego!...

Zachnął się i rzucił na fotelu podrażniony.

— Mówiłem ci tyle razy, że mi się to bywanie u Pęczyńskich i twoje nadskakiwanie tej sroce Frańi nie podoba. Zapominasz, kim jesteś, i w jakim powinieneś zostawać stosunku. Jesteś moim bratem, masz udział w fabryce: nie wypada ci przestawać z pierwszym lepszym officyalistą i przy jego córce odgrywać roli kawalera!... zostaw to panu Kiemlowi i naszym kantorzystom.

Wyraz przykrego niezadowolenia osiadł na twarzy Krzysia; zmarszczył brwi, i przegarnawszy włosy, rzekł:

— Mój drogi, ten pierwszy lepszy officyalista od dwudziestu lat pracował u naszego ojca i krocie naszego majątku przeszły przez jego ręce.

— To i cóż ztąd? — zawołał z rosnącym rozdrażnieniem Karol,—to jeszcze nie powód, abyś ty się kochał w jego córce. Piękną mi partya dla pana Krzysztofa Fatta!... córka inkassenta!...

Krzysowi zaświeciły łagodne dotąd oczy.

— Przepraszam cię, Karolu; to bardzo przyzwyczajona panienska.

— Tem gorzej!... bo to cię więcej zobowiązuje. Gdyby nie była przyzwoitą, nie widziałbym żadnego niebezpieczeństwa dla ciebie; pobałamucilibyście się trochę oboje i rozeszli; ale tak... z ogniem nie należy igrac!... Ożenić się z nią nie możesz. Mówiłem ci, abyś to raz nazawsze z głową sobie wybił.

— A to dlaczego?—tracąc cierpliwość, wybuchnął nieco podniesionym głosem młody człowiek.

— Dlatego, że ani ja, ani ojciec, ani nikt z rodziny na to się nie zgodzi—odrzekł zimnym, ale stanowczym tonem Karol. Chyba ci nic na nas wszystkich nie zależy!

Po tych słowach nastąpiła chwila przykrego milczenia.

Krzyś odwrócił się do okna i z zachmurzonym czołem przyglądał się szybom, przez które widać było dziedzińiec fabryczny, okopcone budynki, sterzące wysoko kominy i krzątających się robotników około ładowania ogromnych wozów częściami maszyn świeżo wykończonych.

— Do czego to podobne—zaczął pierwszy znów Karol—aby brat pana pryncypała prowadził jakieś romanse w fabryce!... cóż-to niema już dla ciebie odpowiedniejszych panien na świecie!... Możesz się taksamo ożenić, jak ja, wejść w lepszą sferę, wziąć majątek a nie robić nam wszystkim wstydu, zwłaszcza teraz, kiedy lada dzień o Lizę oświadczy się Turnau. Piękna parallela: siostra baronowa, a brat ożeniony z kim?... z panną Pęczyńską, córką inkassenta fabryki! Zastanów się tylko nad tem: czy to możliwe?...

Odpowiedzi nie było; Krzyś nieporuszony stał w miejscu z przyciętymi ustami i słuchał brata w milczeniu.

— Nasz majątek, nasza firma, nasze stosunki w świecie dają nam inne stanowisko dzisiaj; tego nie wolno ci lekceważyć,—ciągnął dalej po chwilowym przestanku brat starszy, siłąc się na przekonującą wymowę — ty jesteś młody i głupi, a przekonać się nie dasz. Nie pojmuję, zkąd się w tobie biorą te przewrócone pojęcia i gusta!.. jesteś dziki człowiek w naszych czasach. Trzeba ci było zostać prostym ślusarzem i stać przy kowadle całe życie. Zamiast się przystosować do nas wszystkich, unikasz nas, wyszukujesz sobie znajomości własnych stronisz od lepszego towarzystwa, do którego powinieneś należeć. Smakują ci więcej czerstwe bułki u jakichś tam Pęczyńskich, niż majonezy u nas!.. Dlaczego do nas częściej nie przychodzisz?... wszakże ci tyle razy mówiłem!..

— U ojca bywam, — mruknął ponuro Krzyś — a u ciebie za wielkie salony dla mnie. Ja tam do waszego świata nie należę i nic mnie do niego nie ciągnie. Dobrze mi tak, jak jest, i dajcie mi pokój święty!..

— Ja wiem, w kuźni ci najlepiej!—rzucił mu brat dogryźliwą wymówkę.—Nie chcesz bywać zresztą; nie bywaj sobie. Masz rację: ty do salonu, jak wół do karety. Ale mi wstydu nie rób w świecie!.. tego ci zabraniam. Mam prawo, jestem starszy, jestem szefem firmy; powinieneś mnie podwójnie słuchać. Powtarzam ci raz jeszcze: pannę Franciszkę wybij sobie z głowy!

Z zarumienionemi policzkami zwrócił się nagle Krzyś do brata.

— Zapominasz, że jestem pełnoletnim i że w tej firmie mam także pewne prawa. Czy się ożenię z Pęczyńską, czy nie, to moja rzecz. Nasz ojciec także nie wziął hrabianki; dopiero wy się pniecie teraz do arystokracji i baronów się wam w rodzinie zachciewa. Przewróciło się wam w głowie!..

Karol zerwał się z fotelu i przyskoczył do brata.

— Głupi jesteś i nie rozumiesz, co mówisz!.. Ojciec co innego, my co innego. Kiedy się ojciec żenił, był mniej, niż dzisiaj jest Pęczyński. Miał dziesięć palców i chodził w łatanych butach. Słyszałeś tyle razy, że nie miał fraka do ślubu i poszedł do ołtarza w czarnym surducie, ale to było trzydzieści sześć lat temu!.. dzisiaj co innego. Dziś Liza może zostać baronową, a ty mógłbyś się starać o hrabiankę, gdybyś potrafił. Majątek taksamo zobowiązuje, jak nazwisko rodowe. Me-

zalianow nie wolno robić już dzisiaj Fattom, rozumiesz?..

Krzyś pogardliwie ramionami wzruszył.

— Nic nie rozumiem, — rzekł z ironicznym uśmiechem — na to potrzeba mieć taki zagraniczny rozum, jak twój.

Karol z gniewem już machnął ręką i odciał się bratu:

— Całe życie zakuta pałka!

— Niech sobie będzie; ja tam nikomu cudzej głowy nie zazdroszczę. — odparł spokojnie, chociaż dotknięty szorstkim wyrażeniem starszego brata.

Pierwszy raz do tego stopnia zaogniła się rozmowa między nimi.

Arbitralny ton Karola zagłuszał zwykle wszelką opozycją wszystkich członków rodziny; Krzyś od dzieciństwa przyzwyczajony był do tego, że starszy, wykształcniejszy, wyróżniany zawsze przez ojca Karol przewodził nad nim. Szanował w nim te przywileje starszeństwa, rozumu, stanowiska, a zgodna jego i dobrodusznia natura unikała starć póty, dopóki ta arbitralność nie zadrasnęła w nim za głęboko jego uczucia i nie chciała stanąć zbyt despotycznie wbrew jego woli.

Czuł się upokorzonym poraz pierwszy tak dotkliwie przewagą brata, który za wiele praw sobie nad nim przywłaszczał.

Ten pierwszy objaw tak śmiałego oporu rozdrażnił niezwykle Karola, przyzwyczajonego do biernej uległości brata.

— Oświadczam ci kategorycznie poraz ostatni, — odezwał się do niego z mocą i stanowczością, — żebyś mi do Pęczynskich przestał chodzić i dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie miałeś najmniejszego zamiaru konkurrować tam o kogośkolwiek.

Krzyś odwrócił się od niego i sięgnął po swoją czapkę.

— Daj ty mi pokój, mój Karolu. Ja się do twego małżeństwa i do twoich amorów nie wtrącałem.

— Boś nie miał prawa, — zerwał mu ostro brat; — byłeś młokosem.

— No, ale teraz nim nie jestem.

Poszedł ku drzwiom.

— Tyle tylko miałeś mi do powiedzenia? — spytał, hamując się wysiłkiem woli.

— Tyle i w dodatku to, że jeśli nie usłuchasz mego życzenia, poradzę sobie inaczej.

Krzyś zatrzymał się i pytająco spojrzął na brata.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Nieodległą jeszcze jest epoka, w której wśród nas żył, pracował, rzecz-by można zesrodkowywał w sobie całą działalność naszego kraju, nieodżałowanej pamięci Stanisław Moniuszko. Pamiętamy jeszcze te czasy gdy pełni zapału, bieглиśmy brać czynny udział w jego chórach, składanych na razie z sił amatorskich i artystycznych, które jednak nietylko stanowiły pokazną liczbę, lecz jakby jednym prądem entuzjazmu owiane, umiały studyować i starały się godnie oddać dzieła tak jasno i podniosło przemawiające do ogółu. Dziś, gdy przycichły Moniuszkowskie wspomnienia, gdy wogóle zanika tradycja wykonywania i słuchania dzieł poważniejszych, a drobnostkowość, jak w życiu, tak i w artystycznej dziedzinie pierwszeństwo bierze, z nietajoną radością ujrzeliśmy na afiszu zapowiedź: „Widm“ które dyrektora teatrów wybrała jako główny numer programu przedstawienia na rzecz kasy pożyczkowej artystów teatrów warszawskich. Coś w nas odżyło, jakaś otucha wstąpiła do serca, powiało nań jakby wiośniane tchnienie, na myśl usłyszenia tego bodaj jednego z najpiękniejszych utworów Moniuszki, w którym muzyk o stopień wyżej podniósł fantazją poety, nie odejmując jej nic z wła-

ściwej podstawowej barwy. Poeta, idąc za wierzeniami i wyobraźnią ludu, ściągnął duchy na ziemię w sposób nieco realistyczny, nie mógł tego nawet inaczej uczynić bez zatracenia charakteru podań; muzyk uskrzydlił tylko te postacie, i niejako powrócił im pozaświatową poetyczność; nie przestając być tem, czem są, czujemy jednak, iż wirują pomiędzy niebem a ziemią, niepochwytnie, wśród atmosfery beznadziejnej tęsknoty. Muzyka odegrała tu więc właściwą sobie rolę: zidealizowała poezją; rola to całkiem odmienna od tej jaką niekiedy dziś przybiera względem swej duchowej siostrzycy, gdy stara się zapomocą środków technicznych, jakimi włada, np. instrumentacji, nadawać ideom poety pokład plastyczny, dźwiękiem malowniczych tonów przemawiający do naszych zmysłów. „Widma“ są, w całym znaczeniu słowa, poezją w muzyce. Ale też muzyka ta, przedstawia niemałe trudności, gdy chodzi o należyte i na właściwym poziomie stojące wykonanie. Traktować jej nie można od niechęcia. Gdyby nie trudność, jaką szanowny dyrektor Münchheimer musiał napotkać z artystami i chórami teatrów, przywykłymi nieco za rubasnie i szorstko, za krzykliwie, że tak powiemy, scenicznie pojmować swe zadania, — moglibyśmy zarzucić, że „Widma“ nie były wykonane tak, jak ich nastrój idealny wymaga; wdzięczność jednak należy się i za to, że wykonanemi były.

Drugą dla nas silną atrakcją stanowił odbyty dnia 3-go Stycznia, koncert kompozytorski Zygmunta Noskowskiego. Odkładany z powodu zbyt powolnej rozprzedaży biletów, miał miejsce na koniec, wobec nie tak liczebnej publiczności jakby się tego należało spodziewać. W programie spotkali się z kilkoma dziełami już znanymi, wyższego nastroju, jak: „Psalm“, „Switezianka“ wyjątki z „Suity polskiej“. To wyrażenie: „już znani“, podnieść należy ze względu na tych, co sądzą, iż kompozytor, chcąc przynęcić audytorium, powinien, jak z rogu obfitości, wytrząsać coraz, to nowe dzieła. Dla nas to, co piękne, jest zawsze pięknem, i słuchając z upodobaniem, jeżeli westchniemy, iż Noskowski nie potęguje swej działalności twórczej z dniem każdym, to jedynie z żalu dla jego talentu, który cenimy wysoko. Nie czujemy się jednak w prawie potrącać o warunki miejscowe, zapewne mało sprzyjające artyzmowi; zresztą, czytelnicy nasi żądają od nas tylko wrażeń, lub co najwyżej roli odzwiernego, który wprowadza ich do przybytku Melpomeny.

Oto program: oprócz wyżej wspomnianych dzieł, mamy „Romans“, który śpiewa pani Lewicka, „Polonez op. 26, nr. 3“ wykonany przez J. Liebling'a, oraz „Chanson ancienne“ i „Caprice à la Bourré“ w interpretacji p. Barcewicza. Z tych czterech pomniejszych utworów Noskowskiego, najwięcej zajęcia obudziło w nas „Bourré“ jako kompozycja czysto stylowa, utrzymana w charakterze swej epoki a przecież zupełnie oryginalna. Jak trudno jest stworzyć coś nowego w pewnym danym stylu, wiedzą o tem architekci i rzeźbiarze; w sztuce tak mało plastycznej jak muzyka, melomani nie zadają sobie pracy, by odgadnąć styl jakowyś i może nawet nie wiedzą o jego istnieniu. przeto z przed ich słuchu i obserwacji, wymykają się utwory takie jak powyższe „Bourré“ jest to *terra incognita* i w dodatku nieprzystępna. Nie mamy więc im tego za złe, jeżeli ich uwaga skupiła się na ostatni numer pierwszej części koncertu, osnuty na tle Psalmu Kochanowskiego, a zasługujący na miano jednej z cenniejszych perełek artystycznych. Dla poważnej melodii „Wstępu“ kompozytor, zapomocą świeżego skombinowania i połączenia brzmień różnych instrumentów, otrzymał akompaniament jakoby organowy, lecz szerszy, pełniejszy i potężniejszy, z całym właściwym organom religijnym nastrojem. Na tym akompaniamentie rozwija się chóralny śpiew męzki, śpiew w charakterze ludowym a pełnym duchowego namaszczenia. W drugiej części idzie „Fuga“ przeprowadzona umiejętnie, choć może temat, odrazu za zbyt zwawy i ruchliwy, pierwszemi taktami nie licuje trochę ze szlachetnym nastrojem wstępu. „Suita polska“ składa się z tematów czysto ludowych, opracowanych bogato i jakby odrodzonych nanowo w szlachetniejszej formie.

Lecz najawniej znowu, jako znakomity instrumentator, występuje Noskowski w swej „Switeziance“. O dziele tem możnaby powiedzieć, iż tam gdzie poeta domaga się w pieśni serdecznego liryzmu, natchnienie muzyka słabnie i nie zdobywa się na poryw uczuć lub ich delikatnych odcieni, które potrącają struny drzemające w głębinach ludzkiego serca; lecz tam, gdzie chodzi o oddanie plastycznymi niemal barwy, obrazów i dźwięków natury, jak szum jeziora, głosy „Switezianek“, gdzie realna prawda w ruchach i działaniach domaga się ujawnienia, jak „Gonitwa“ gdzie bardziej dramatyczna sytuacja sama woła o swój wyraz właściwy, jak w „Przysiędze“ tam artysta odnalazł swą wymowną potęgę i zapomocą kolorytu instrumentacyjnego wywołał tak świetne obrazy, iż one-to właśnie czynią ze „Switezianki“ dzieło pełne życia i akcji.

Widocznem jest przeto ciążenie talentu kompozytora ku pracom orkiestralnym; w kierunku tym, zdaje się, jest on dopiero w swoim żywiole, nastrajając instrumenta do takich brzmień i efektów, jakich ma potrzeba, ze swobodą rzeczywistego natchnienia. Wysokie więc pod tym względem uznanie należy się Noskowskiemu. Szkoda, że u nas żąda się od artysty pracującego na polu naszej sztuki, ażeby wszechstronne uprawiał kierunki, schlebiał gustom i guścikom; przytem owe trudne zadania bytu, owe konieczne: *man muss leben*, zmuszają artystę, ażeby był przedewszystkiem „tauzendkünstlerem“, wbrew swej indywidualności, która, mogąc być na jednym polu wybitną, genialną nawet, traci swoje *ja*, jeśli się w inne strony przerzuca.

Juliusz Stattler.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Niebezpieczeństwo z elektryczności. — Gaz z wody. — Fosforescencya u zwierząt. — Fotografia w zastosowaniu do sądownictwa.

W ostatnich czasach wydarzało się bardzo wiele wypadków śmiertelnych, albo przynajmniej ciężkiego okaleczenia, skutkiem elektryczności. W większych miastach zagranicznych, zwłaszcza w Ameryce, ulice poprzerywane są we wszystkich kierunkach sieciami drutów, po których przebiegają bardzo silne prądy elektryczne; z nich jedne doprowadzają siłę motoryczną, inne oświetlenie, inne jeszcze przenoszą głos i t. p.

Otóż znakomity wynalazca amerykański Edison, niedawny bohater dnia na wystawie wszechświatowej w Paryżu, gdzie okazywał swój ostatni genialny wynalazek, powtarzający mowę i muzykę, a nazwany *fonografem*, zamieścił w jednym z dzienników amerykańskich pogląd swój na niebezpieczeństwa, jakie ze sobą przynosi coraz większe zastosowanie elektryczności. Słowa takie; potęgi naukowej, jak Edison, nie mogą nie być brane pod ścisłą uwagę i nie można się z nimi bądź co bądź nie liczyć. Proponowano w ostatnich czasach prawie jednogłośnie, aby wszystkie przewodniki elektryczne, zamiast znajdować się nad ziemią, były zakopywane w jej wnętrzu. Tymczasem Edison utrzymuje, że przewodniki podziemne, nietylko będą równie niebezpiecznymi jak powietrzne, lecz niebezpieczeństwo wyniknie znacznie większe; według niego równałoby się to zakopaniu w ziemię znacznych ilości nitrogliceryny (dynamitu) pod wielkim miastem.

Lecz zobaczymy: w jakich słowach genialny mąż z Menlo Park wyraża się o tym przedmiocie: „Nie posiadamy sposobów kompletnego odosobnienia przewodników, t. j. takich, któreby były w stanie krążyć po nich strumienie elektryczne utrzymać w skupieniu, aby się nie rozpraszaly w środku otaczającym je, gdy ten stanowi mniej albo więcej dobry przewodnik dla elektryczności,

a takim jest ziemia. Otóż, jeżeli znajdzie się obok siebie znaczna ilość drutów naładowanych bardzo silnymi strumieniami elektrycznymi, natenczas strumienie przebiegają będą z jednych drutów na drugie, zlewa się z sobą a ostatecznie przedostawać do naszych sklepów, mieszkań i t. p. Prócz tego, jeżeli nawet pomieścimy je w rurach będących najzupełniej zlemi przewodnikami elektryczności, pewien wpływ jednych na drugie jest nieunikniony i niebezpieczeństwo temsamem zagrażałoby niechybne...“

Jaka tedy jest przyczyna znosząca odosobnienie? „Na to Edison odpowiada: drgania strumienia biegnącego po drutach wywołują w substancji odosabniającej (np. rura porcelanowa lub gliniana) ruch cząsteczkowy i stopniowo niszczą jej elektryczność, a gdy zostanie w ten sposób zmieniona, wnika w nią wilgoć, woda zaś staje się przewodnikiem dla elektryczności, przywodzącym drut w zetknięciu z przedmiotami otaczającymi. Dopóki substancja odosabniająca jest nową i w dobrym gatunku, dopóty spełnia swą funkcją należycie, i niema obawy o strumienie poboczne, lecz bezpieczeństwo to (należy o tem dobrze pamiętać) będzie trwało tylko do pewnego czasu“.

Teorya ta, którą czerpiemy z *Causerie Scientifique* p. Vernier, jakkolwiek przytoczona w słowach takiej powagi naukowej jak Edison, wzbudza co najmniej powątpiewanie. Ziemia nasza jest sama przez się kołobalnym zbiornikiem elektryczności, chociażby tej, jaką otrzymuje w miesiącach letnich z powietrza atmosferycznego w postaci widocznej (piorunów) i niewidocznej (ciągłych strumieni w powietrzu). Pomimo to wypadki wydobywania się elektryczności z łona ziemi na jej powierzchni, jeżeli nie są niemożliwe, to przynajmniej wydarzają się tak rzadko, iż je do wyjątków zaliczać potrzeba. Przypuszczając zatem, że wydobywające się strumienie przez ciała odosabniające, w jakie zawsze zaopatrujemy druty podziemne, nie spłyną do głębi ziemi, jak się to dzieje z picurami i elektrycznością atmosferyczną, lecz, że znajdują sobie konduktorów, po których dostawać się będą do naszych mieszkań i tu wyrządzać nam figle, to... przepraszam, wydaje mi się zbyt daleko posuniętą trwożliwością.

Anglicy zajmują się w obecnej chwili *gazem z wody* (water-gas), zakładają towarzystwa, wznoszą fabryki tego produktu, któryby mógł służyć za opał i światło. Rozumie się, że idzie tu przede wszystkim o to, aby sposoby jego otrzymywania były tańsze, niż gazu oświetlającego i opału, jakim się obecnie posługujemy, a więc: aby gaz był tańszym od drzewa, węgla kamiennego, koksu.

U nas już ś. p. ksiądz Adam Jakubowski pozostawił legat, wyznaczając nagrodę dla wynalazcy podobnego opału z wody. Czy wynalazek angielski stanie na przeszkodzie w uzyskaniu tego premium jakiemu naszemu Edisonowi: tego dotąd jeszcze na podstawie wynalazków dokonanych przez Anglików, jak to zaraz zobaczymy, orzec nie można.

Czem właściwie jest ów *water-gas*? Jestto gaz płonący, który otrzymujemy przez rozłożenie pary wodnej nagrzewanej do temperatury czerwoności. Myśl to nie nowa: już przed pięćdziesięciu laty próbowano we Francji w ten sposób wyrabiać gaz do oświetlania; otrzymany jednakże posiadał tę stronę ujemną że: nie oświetlał, nie zawierał bowiem w sobie dostatecznej ilości cząsteczek stałych, a oprócz tego przedstawiał wielkie niebezpieczeństwo, gdyż znajdowała się w nim wielka ilość tlenku węgla t. j. gazu wybuchającego, a głównie — duszącego. Zdawało się wówczas, że musi być w zupełności zaniechanem jego zastosowanie w życiu praktycznym; tymczasem tesame próby, mające, bezwątpienia, przed sobą wielką przyszłość, podejmują teraz nanowo w narodzie tak dzielnym, jak angielski.

W Anglii produkują gaz wodny dziś w następujący sposób: przez żarzący się węgiel przepuszczają naprzemiany strumienie to pary wodnej to powietrza, które podtrzymuje żarzenie się węgla. Takie postępowanie prowadzi do otrzy-

mania dwóch gazów: najpierw mieszaniny tlenku i tlenku węgla, a następnie gazu składającego się z azotu, tlenku węgla i nieznacznej ilości kwasu węglowego. Gdy zmieszamy oia te gazy, powstaje nic innego, jeno gaz oświetlający, który z takim namaszczeniem wyrabia u nas towarzystwo dessauskie przy ulicy Książęcej; gdy gazy te znajdują się w odosobnieniu, wypada dla każdego z nich wynaleźć odpowiednie przeznaczenie.

Z powyższego widzimy, że Anglicy jeszcze nie dopięli zamierzonego celu w myśl legatu, wyznaczono przez ś. p. księdza Jakubowskiego, który nim pragnął przyjść w pomoc ubogim, ziębnącym w zimie i niemającym na dostateczne oświetlenie do pracy w porze wieczornej. Cel może być osiągniętym przez bardziej pomysłowych ludzi, niż ci, którzy robią w obecnej chwili próby w Anglii.

Istnieją pewne zwierzęta i rośliny, które, rozkładając się, nabierają własności świecenia w ciemności. Przyczyna podobnej fosforescencji nie została dotąd stanowczo wyjaśniona; zdaje się jednak, że zbliżamy się co do tego przedmiotu coraz bardziej do światła nie fosforującego, lecz do światła, jakie daje natura żywa.

Prawie wszystkie ryby morskie, gdy przez pewien czas pozostają na powietrzu, wydają z siebie pewnego rodzaju światło, podobne do tego, jakie widzimy na kawałku fosforu, gdy leży na powietrzu w ciemności. Homary, ryby morskie i t. p. posiadają własność wydawania z siebie światła fosforycznego. Czasami i mięso w jatkach przedstawia ten objaw fizyczny. Już w 1592 r. Fabricius zauważył po raz pierwszy fakt ten w Padwie. Twierdził, iż widział świeże mięso, które świeciło przez przeciąg czterech nocy. Hulme i Dessaigne robili w tym kierunku doświadczenia, jednakże bez pomyślnych rezultatów. W 1875 r. Pfüger z Bonn wpadł pierwszy na myśl, że fosforescencya zwierząt zależną być może od swoistego mikroba (o czem już dawniej, w jednej z pogawędek w „Bluszczu“, mieliśmy sposobność wspomnieć). W r. 1878 Neusch, śledząc tę teorię, ogłosił bardzo ciekawy rezultat doświadczeń robionych na mięsie. Zauważył, że kotlety wieprzowe w stanie surowym oświecały kuchnię do tego stopnia, że mógł na zegarze dojrzeć godzinę, a gdy powiedział to rzeźnikowi, dowiedział się od tego ostatniego bardzo zajmujących rzeczy o fosforescencji surowego mięsa. Professor fizjologii w Lugdunie, p. Rafał Dubois, zajął się tem i w wielu ciemnych kwestjach wyjaśnił fakt fosforescencji istot żyjących, przyczem udało mu się wykazać, że zależną jest ona w samej rzeczy od swoistego mikroba. Przekonał się przede wszystkim, że u świeżących owadów własność świecenia zależy od pewnego fermentu. Przy pomocy szczepienia jednakże dopiero z ryb morskich udało mu się wykazać dwa rodzaje mikro-organizmów pasywnych i określić ich własności.

Mikroby te świecą przeniesione z jednego ośrodka na drugi, jeżeli tylko znajdują warunki sprzyjające swemu rozwojowi. Można rozzarzyć gromady wygasłe już przenosząc je np. na rosół stosownie przyrządzony, ponownie zagasić i jeszcze raz rozzarzyć. Woda morska w pewnych warunkach może być takim ośrodkiem, którym można rozwinąć hodowlę owych mikroorganizmów świeżących; gdy dodać do wody morskiej, świeżącej dobrowolnie, skutkiem istnienia w niej żyjątek świeżących (jak to ma miejsce w Morzu Śródziemnym, nieco chlorku sodu, fosforescencya znika) a pojawia się ponownie po dodaniu wody słodkiej. Widzimy przeto, że musi być zachowany pewien właściwy stosunek między substancjami, aby fosforescencya mogła się objawić.

Są to bezwarunkowo fakta niezmiernie ciekawe; wyznać jednakże potrzeba, że pozostaje bardzo wiele jeszcze ciemnych punktów, które nie pozwalają przeniknąć dokładnie tego... *widnego* objawu. W każdym razie jest to obszerne pole studyów dla fizjologów.

W sądownictwie bardzo ważną rolę odgrywają często badania chemiczne a także mikroskopowe. Otóż w podobnych razach przychodziło zazwyczaj polegać na głośnych zdaniach ekspertów, albowiem jest rzeczą niemożliwą albo bardzo trudną odbywać badania i doświadczenia na posiedzeniach sądowych. Expert tedy mógł tylko wyrazić swoje osobiste poglądy na dany przedmiot, preparatów, zaś t. j. wyników swych badań, przedstawić nie zdołał albowiem, jak wiadomo, po największej części ulegają one szybko, rozkładowi a więc zniszczeniu. Otóż, jeżeli preparaty tego rodzaju utrwalone zostaną na kliszy fotograficznej, natenczas nie trzeba będzie polegać jedynie na głośnym zeznaniu eksperta, lecz będą mogli i sędziowie przekonać się o odkrytych faktach i zarejestrować je do aktów sądowych.

Wszystko to przemawia za wprowadzeniem fotografii do chemii i medycyny sądowej. Znajdowało się jednakże jeszcze bardzo wiele przeszkód technicznych, które udało się p. Jeserich najzupełniej usunąć. Wiadomo, że światło Drummonta nadaje się równie dobrze do fotografowania jak słoneczne, ponieważ zaś na to ostatnie z powodu niepogody wypada nieraz czekać po kilka lub kilkanaście dni, a tymczasem preparaty takie, jak np. krew, ulegają rozkładowi, zastosował p. Jeserich sztuczne światło Drummonta. Odbicia na tem nic a nic nie tracą: przy 1.500-m powiększeniu wystawienie kliszy trwa od 10 do 15 sekund, a przy 6.200-m najdrobniejsze szczegóły odbijają się najzupełniej wyraźnie. Aparat fotograficzny jest tak zbudowany, że można przy jego pomocy robić zdjęcia pionowe i poziome, mikroskop zaś, służący do badania, przymocowany jest do aparatu.

Aparat ten służyć także może do wykrywania fałszywych dokumentów. Znaną bowiem jest rzeczą, że farby inaczej działają na czułą płytę fotograficzną, niż na siatkówkę oka. I tak różnice atramentu, których oko ludzkie nie jest w możności wyróżnić, występuje zupełnie wyraźnie na płycie fotograficznej. Cyfry, fałszowane np. na wexlach mogą być wykazane przez fotografię z największą oczywistością.

Widoczną tedy jest rzeczą, że fotografia może oddać bardzo wielkie usługi w sądownictwie, i dlatego byłoby bardzo do życzenia, aby znalazła jaknajszersze i najobszerniejsze zastosowanie.

Kronika działalności kobiecej.

— Prof. Tarchominów wykazał w odczytaniu w Petersburgu, w sali Towarzystwa Technicznego, że kobiety żyją dłużej od mężczyzny. Na 102 839 osób dziewięćdziesięcioletnich przypada 42.528 mężczyzn, 60.303 kobiet. Wśród starców stoletnich różnica ta staje się jeszcze większą. We Włoszech na 160 stuletnich mężczyzn jest 241 kobiet; w Austrii na 183 mężczyzn wypada 229 kobiet, w Niemczech na 224 mężczyzn 423 kobiety.

— Warszawski urząd lekarski pozwolił kandydatkom na felczarki odbywać praktykę w szpitalach przy oddziałach kobiecych. Po odbyciu praktyki wolno jest kandydatkom wejść do warszawskiej szkoły felczerek. Obecnie znajduje się na praktyce w szpitalu Dzieciątka Jezus takich uczennic felczerskich dwie.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności otwiera siódmą szwalnię dla dziewcząt, gdzie dziewczęta te, jak to wiedzą czytelnicy nasi, uczą się bezpłatnie szycia, oraz innych, potrzebnych kobiecie ubogiej, robót i rzemiosł. Pierwsza szwalnia taka została założoną w Domu pod-Dominikańskim przy ulicy Freta w 1882 r., a początek dało tu dobrowolne garnięcie się pod opiekę sióstr miłosierdzia dziewcząt, będących niegdyś wychowankami ochronek. Kilka z nich, pracują-

nych po rękodzielnich i fabrykach warszawskich, zwróciło się do sióstr miłosierdzia z prośbą, aby im dozwolono przychodzić w Niedzielę i święto do opróżnionej wtedy sali ochrony dla oddania się zajęciom odpowiednim w dni świąteczne, a na które trudno im było znaleźć miejsce i spokój potrzebny w ciasnych i przeludnionych mieszkaniach swoich. Gdy to nastąpiło, liczba ich zaczęła powiększać się codziennie; przybywały jedne za drugimi, takie nawet, które poprzednio w ochronach nie były; znaczne opiekunki ochrony, poczciwie tem zainteresowane, urządziły dla nich obiady bezpłatne, a siostry miłosierdzia, obciążając z tym rojem młodych pracownic, oddanych — aby żyć mogły — własnemu instynktowi i własnej pracy, do której po większej części nie były dostatecznie uzdolnione, powzięły myśl poczciwą stworzenia instytucji, któraby dostarczyła dziewczętom z klasy ludności najliczniejszej i najuboższej środków zapracowania uczciwie na życie. Towarzystwo Dobroczynności przy współudziale 50 osób dobrej woli wprowadziło w życie pomysł ten dobroczynny i w ten-to sposób powstał „zakład nauki szycia dla biednych dziewcząt“, pomieszczony we wspomnianym gmachu pod Ominikańskim: pierwsza szwalnia ubogich dziewcząt z ludu warszawskiego. — „Nauka szycia, robót kobiecych i wszelkich zajęć gospodarskich, tudzież kierunek moralny w duchu chrześcijańskim: oto zadanie zakładu, mającego na celu materialne i duchowe dobro biednych, często opieki pozbawionych dziewcząt“ — opiewa ustawa dobroczynnej tej instytucji, pojętej iście po-macie-ryńsku.

Najuboższe dziewczęta dostają tu obiady, a pracownice i pilne, uzdalniające się odpowiednio, otrzymują tanyemę, wynoszącą połowę ceny, otrzymanej za ich robotę. Nauka wyżej wymienionych przedmiotów trwa codziennie przez sześć dni tygodnia, od godziny 9-tej rano do 4-ej po południu w zimie, a do 5-tej w lecie z przestankami, potrzebnymi na odpoczynek, a pouczające rozmowy z przełożonymi: „monitorkami“ rozwijają młode te umysły i oświecają je pożytecznie. Przed wyjściem ze szwalni siostry przemawiają po szczególe do każdej z nich, dając im potrzebne przestrogi i napomnienia, nietylko co do ich pracy i zachowania się w zakładzie, ale zwracając po-chrześcijańsku ich uwagę na obowiązki ich względem rodziców i otoczenia ich w rodzinie, w domu. Kurs nauki w zakładzie jest trzyletni; po ukończeniu go najzdolniejsze są oddawane jeszcze do zakładów tych rzemioł kobiecych, w których początkowe wykształcenie przyjęły, reszta zaś jest pomieszczana w służbie po domach prywatnych, lub pracowniach, gdzie znajdują pracę na uczciwe utrzymanie życia. Te, które po ukończeniu nauki pragną pozostać nadal w zakładzie, jako pomocnice w kierowaniu robotami, otrzymują stałą pensję miesięczną, lub tanyemę od robót wykonanych.

Sprawozdanie zarządu szwalni 1-ej wykazuje, że od 1-go Lipca 1882 r. do 1-go Stycznia 1885 r. uczęszczało tam przeszło 600 dziewcząt. Z tych, po dłuższem lub krótszem tam przebywaniu, opuściło go przeszło 300. W ciągu 1887 r. przebywało w zakładzie dziewcząt 238; w ciągu 1888 r.

315. Budżet zakładu roczny jest 3.000 rs. a skromny ten fundusz nie pozwala żywić tam wszystkich dziewcząt, jakkolwiek opiekunowie zakładu nadsyłają na ten cel liczne dary w naturze. Przychód osiągnięty jest niemal w połowie z robót, wykonywanych w zakładzie i z tego źródła otrzymano w 1888 r. 1.592 rs. i coś drobnych.

Gdy obejmiemy myślą, jak wiele dobrego przynoszą mieszkańcom naszego miasta szwalnie ubogich dziewcząt, dla których życia stanowią one moralną i materialną dźwignią, jakiej nie może im dać rodzina uboga, uznać musimy, że nigdy dobroczynność chrześcijańska nie obrała sobie lepszego pola działalności. Urządzenie szwalni siódmej, której otwarcie zawdzięczać będziemy szlachetnym usiłowaniom Prezesa Warszaw. Towarzystwa Dobroczynności, ks. Tadeusza Lubomirskiego, zaliczyć też trzeba do bardzo szczęśliwych dla miasta nabytków.

— W Kaliszu, w wigilię Bożego Narodzenia, Siostry Miłosierdzia rozdały dwustu ubogim po funcie chleba, po strucli półtora-funtowej, po śledziu i po funcie mięsa wieprzowego. Bardzo czynnie przyłożyła się do tego aktu miłosierdzia pani Sz..., niestrudzona ubogich opiekunka, jak pisze „Kaliszanin“. Panie opiekujące się miejscową ochronką obdarzyły ubogą dziatwę odzieniem i tradycyjnymi w dzień wigilijny przysmakami. Bóg im zapłać!

— W Darmstademie istnieje od lat sześćdziesięciu prywatny zakład dobroczynny wyuczający robót kobiecych i domowych zajęć gospodarskich ubogie dziewczęta, które uczęszczają do szkółek elementarnych. W ubiegłym roku zakład zdobył się na kupno własnego domu z ogrodem i dziedzińcem za składowe, przez cały ciąg istnienia swego zbierane, pieniądze i w kuchni, zbudowanej specjalnie na ten cel kosztem 470 marek, dziewczęta uczęszczające do zakładu uczą się gotowania w zakresie potrzeb rodziny ludowej. Lekcja ta, odbywająca się raz na tydzień, zależy na tem, że w kolej jedna z uczennic gotuje a dwie inne jej pomagają. Następnie spożywa się wspólnie ugotowany obiad. Kominy do gotowania, oraz wszystkie sprzęty i narzędzia są zastosowane do wzrostu i sił uczennic. Zakup naczyń kuchen-

nych kosztował szkołę 70 marek, razem więc nakład na tę pożyteczną naukę wyniósł skromną sumę 540 marek. Materyały spożywcze wraz z opałem wynoszą przeciętno na jeden obiad dla pięciu osób 91 fenigów. Nauczycielką jest przełożona zakładu.

— Królowa Małgorzata włoska otrzymała od Papieża list, pisany do niej w interessie zakładów dobroczynnych (opere pie), którym rząd Crispi'e-go odjął charakter religijny. Królowa jest szczerze nabożną i wierną córką Kościoła: rozwinęła też możliwą usilność, aby nie dopuścić tej rzeczy. Pracownicy zebrała i przewertowała wszystkie starożytne fundacje wspomnianych instytucji i własnoręcznie skreśliła memoriał wykazujący, że prawo włoskie nie dopuszcza, aby wola ofiarodawców była naruszana przez zmieniony charakter zakładów, powstałych z ich legatów. W takim razie złamanie pośmiertnej woli testatorów majątki ich powinny wrócić do prawnych spadkobierców. Początkowo w pewnych sferach społeczeństwa rzymskiego zaprzeczano temu zwróceniu się Ojca Świętego do Królowej Włoskiej, przecie obecnie, gdy Małgorzata Sabaudzka rozwinęła tu osobiście czynność energiczną, choć bezkuteczną, wiarogodność faktu stała się niezaprzeczalną.

— Do szkockiego *Narodowego Stowarzyszenia Zdrowia* przyłączyło się grono pań, które mieszkają po wsiach i miasteczkach, odległych od miast większych, odczyty z zakresu higieny domowej i zdrowego wychowania dzieci, oraz pielęgnowania chorych i utrzymywania apteczek domowych. Odczyty te z początku nie cieszyły się powodzeniem co do gromadzenia słuchaczek, jednak powoli zaczęły wyrabiać sobie uznanie i obecnie można je uważać za bardzo skuteczny środek rozpowszechniania między kobietami klas średnich wiadomości bardzo potrzebnych każdej gospodyni domu i matce rodziny.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Odtracony**, przez Reneusza Bazin.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana
przez
Dra Józefa Starkmana

Zeszyt I, zawierający między innymi: „angielska choroba, apetyt, apetyt wzbudzające, apopleksya, arsenik, bandaże, biegunka, bladaczka, bielizna, blansz, bliźnięta, Bordeaux, bóle, ból głowy i t. p. wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena Zeszytu kop. 30, pocztą kop. 36. Zeszytów tychże trzydzieści.

W noszący prenumeratę jednorazowo za całe dzieło płacą rs. 8; z przesyłką pocztową rs. 9 kop. 50.

TREŚĆ: Henryk Stanley (z drzeworytem). — Pogawędka. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Z działy przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści, pod tytułem: *Odtracony* przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycya stołu*.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Kołnierz chusteczkowy z koronki i wstążki.

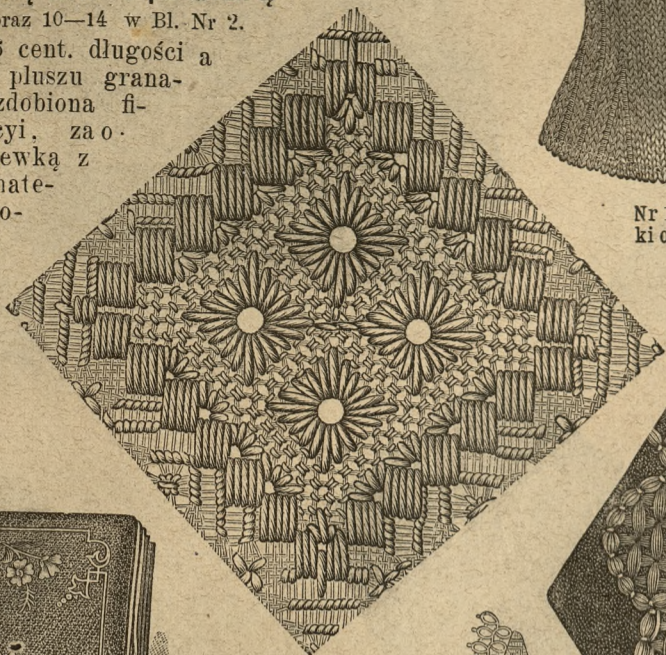
Rycina Nr 1 w Bl. Nr 2.

Dwa końce białej koronki każdy 17 cent. szer. a 50 długi, służą na upięcie chusteczki podług ryc. Wstążka repsowa niebieska 6 cent. szer. i także kokardy pomieszczone z węższą wstążeczką.

Serweta na sofę wraz z poduszką.

Rycina Nr 19 oraz 10—14 w Bl. Nr 2.

Serweta 146 cent. długości a 120 c. szer. z pluszu granatowego, przyozdobiona figurami aplikacyi, zaopatrzona podszewką z jedwabnego materiału tegoż koloru i otoczona jedwabnym sznurkiem. Figury aplikacyjne wykonać sposobem gobelinowym, roz-



Nr 3. Kwadrat do kołnierza Nr 7. (Wielkość naturalna).



Nr 6. Kieszonkowe pudełeczko na chustki do nosa.

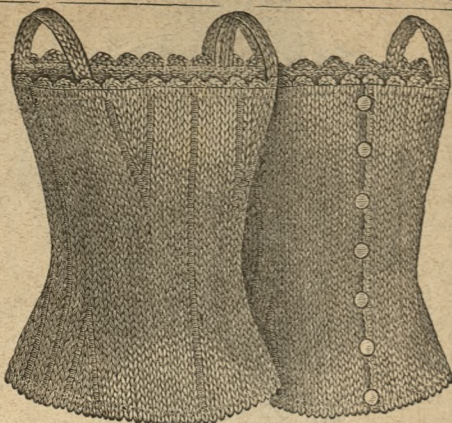
maitego koloru filozelą na kanwie niedzielonej przez 2 nitki wysokości każdy ścieg. Po wykończeniu wyciąć niepotrzebną kanwę z uwzględnieniem wystających nitki, potrzebnych na otoczenie figur, przyfastrygować takowe na pluszową serwetę i wykonać wówczas zewnętrzny ścieg gobelinowy, co jednocześnie przytwierdza figurę na pluszu. Poduszkę wykonać tym samym sposobem.

Szlak do ozdoby sukien, okryć i t. d., robota szydełkowa.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 2.

Szlak wykonany włóczką „zefir“ koloru odpowiedniego do potrzeby. Rozpocząć od środkowego rzędu gwiazdek na założeniu na każdą 7 powietrznych ocz., które złączyć w kółko jednym łańcuszkowym ocz. w te ostatnie 3 ścis. o., 5 okręcanych słupków (na każdy z tychże okręcić nitkę 7 razy na szydełku, przytrzymać mocno okręcenia palcem wskazującym i wielkim lewej ręki, przeciągnąć zebrane na szydełku 1 ocz. i wykonać 1 ścis. ocz. w następne ocz.), po czem 4 ścis. ocz. i 1 ścis. łań. ocz. w 1 z 3 ścis. ocz., każdą następną gwiazdkę wykonać tak samo, ale środkowy z 5-ciu okręconych sł. przyczepiać do ostatniego z 4 ścis. oczek poprzedniej gwiazdki przed rozpoczęciem ścis. ocz. w kółko. Z drugiego brzegu rzędu gwiazdek wykonać.—1 kolej: ciągle na przemian 1 ścis. ocz. w przeciągnięte ocz. ostatniego okręć. sł. następnej gwiazdki, 5 pow. ocz.—2 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każde ocz. poprzedniej kolei.—3 kolej: ciągle na

Nr 11. Suknia balowa z atlasu i tiulu (do ryc. Nr 25). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 51—55.



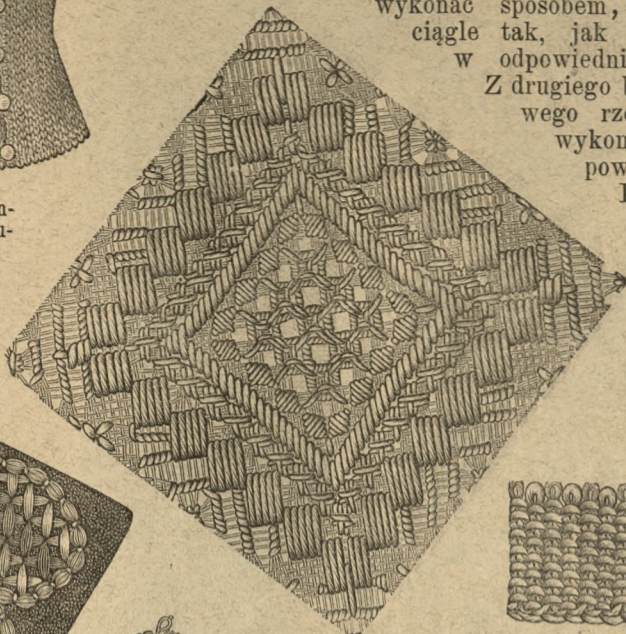
Nr 1 i 2. Gorset dla panienki od 12—14 lat. Robota drutowa i szydełkowa.

przemian 1 ścis. ocz. w następ. ścis. ocz., 5 pow. ocz., 4 ocz. opuścić.—4 kolej: na jedną gwiazdkę 4 pow. ocz. złączyć w kółko 1 ścis. łań. ocz., 7 sł., jak poprzednio opisane w kółko, ale należy okręcać jeden sł. przyczepić do środkowego następnego 5 pow. ocz. poprzedniej kolei, oraz 1 ścis. łań. ocz. w 1 z 7 okręcanych sł. wykonać.

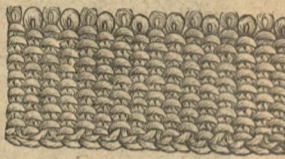
Każdą następną gwiazdkę, tym samym wykonać sposobem, przyczepiając ciągle tak, jak wskazuje ryc. w odpowiednich miejscach.

Z drugiego brzegu środkowego rzędu gwiazdek, wykonać koleje, jak powyżej opisane.

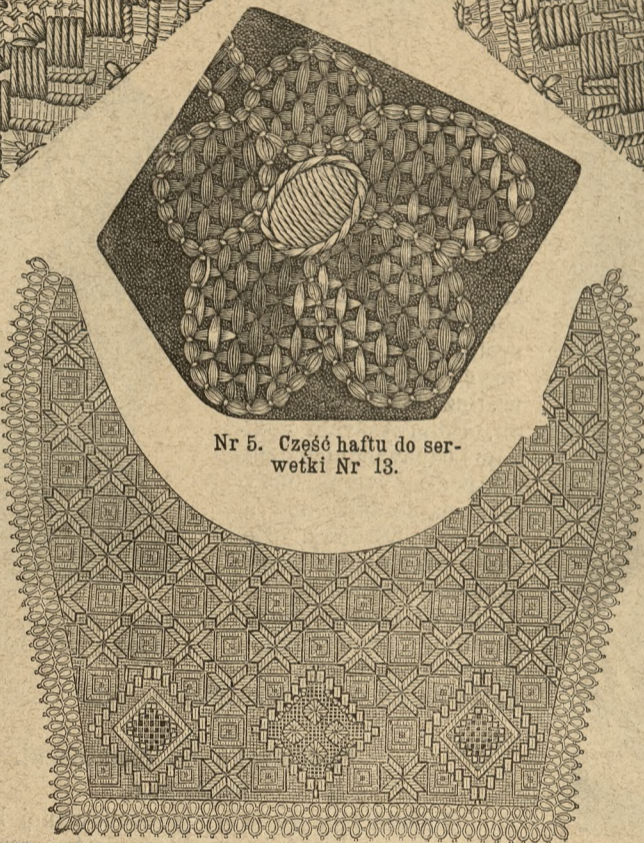
Lewa strona roboty przedstawia stronę prawą szlaku.



Nr 4. Kwadrat do kołnierza Nr 7. (Wielkość naturalna).



Nr 9. Wzór ściegu na drutach odpowiedni na dziecięce napiersniki, powijaki i gorseciki.



Nr 5. Część haftu do serwetki Nr 13.



Nr 10. Koroneczka wykonana szydełkiem do ozdoby bielizny.

Nr 7. Kołnierz wykonany ściegiem płaskim i przezroczystym (do ryc. Nr 3, 4 i 8). Kr. odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 61.



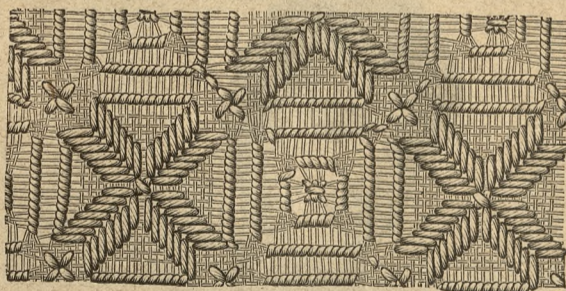
Suknia z materiału gładkiego wełnianego i w kraty.

Rycina Nr 21 i 26 w Bl. Nr 2. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 32—42).

Spódnica z podszewki 210 c. obwodu, bez stulek, tylko w górnym brzegu na 30 i 57 odległości od tegoż przytrzymana przeciągnięciem za pomocą tasemek, na co należy przyszyć listewkę 80 c. dł. a 2 c. szer. Dolny brzeg obszyty plisowaną falbaneczką 6 c. szer. i cała pokryta z przodu od góry do dołu materiałem gładkim 37 cent. szerokości nieco zwężonym w górnej części, a dalej falbaną z materiału w kraty 34 cent.

Nr 12. Suknia balowa z atlasu „merveilleux“ i haftowanej gazy (do ryc. Nr 14 w Bl. Nr 4).

wysokości a 210 obwodu. Skrajac należy na tę falbanę fig. 32 i 33 po jednej części, podszyć brzegi dolne i przednie na 6 c. szer. paskiem z gładkiego materiału i połączyć części od 1 do 2. Następnie umocować w fig. 32 trzy \dagger na jednej kropce, jako też \dagger oznaczone lit. b i c na kropce b i c, potem * b na * c. Fig. 33 ułożyć w fałdy. Stanik skrajac z podszewki fig. 34, z materiału w kraty fig. 36—39 i 42 po dwie części, na lewą połowę kołnierza od szwu do wystającego konturu jedną część, na drugą połowę jedną część złożoną wzdłuż środka z uwzględnieniem wystających konturów. Po dopełnieniu złożenia fig. 35 skrajac z materiału gładkiego napiersnik, jako też z tegoż materiału i podszewki fig. 41, podszywkę jednakże tylko do wystających konturów. Zaostrzyć podszewkę fig. 36—40



Nr 8. Deserik na kołnierz Nr 7. (Wielkość naturalna).



Nr 13. Serwetka na dziurkowanym suknie (do ryc. Nr 5). Ścieg: płaski, krzyżowy, gałązkowy i pocztowy. Deseń odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 62 i 63.



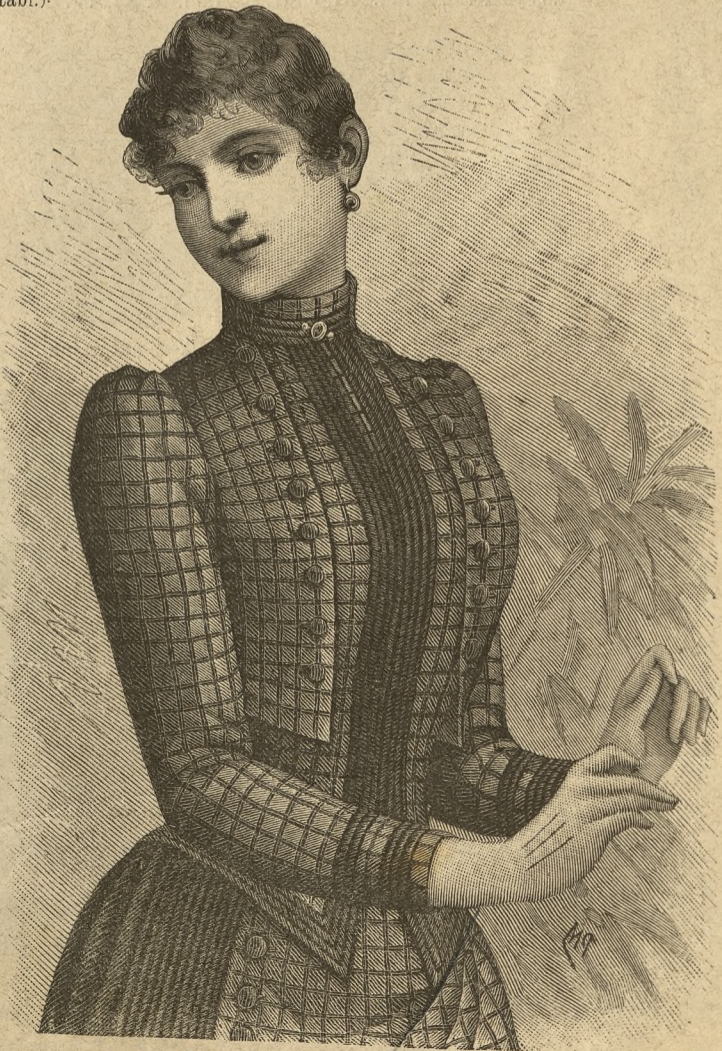
Nr 22. Kostium przedstawiający „zimę.“ (Opis pierw. str. tabl.)

i 42, kołnierz zaś i klapki podkładem. Wykonać zaszewki w przednich częściach, napierśnik podług wskazówek ułożyć w fałdy, i przyszyć do prawej przedniej części, i sfastrygować obie przednie części na ramionach i boczkach do części kaftanika. Połączyć fig. 34, 36—39 podług cyfr, wszyć kołnierz obłożony przedtem materyałem gładkim w części przedniej. Zeszyć rękawy od * do 18, wykonać szew od 18 do 19 i od 20 do 21, zmarszczyć w fałki materyał w górnym brzegu od * do * i przyfastrygować do podszewki. Przybrać rękawy klapkami i wszyć w stanik. Część kaftanika wzdłuż wiecicia i wzdłuż koleistego górnego wycięcia zaopatrzyć w dziurki, przez które przeciągają się przyszyte w odpowiednim miejscu guziki do napierśnika.

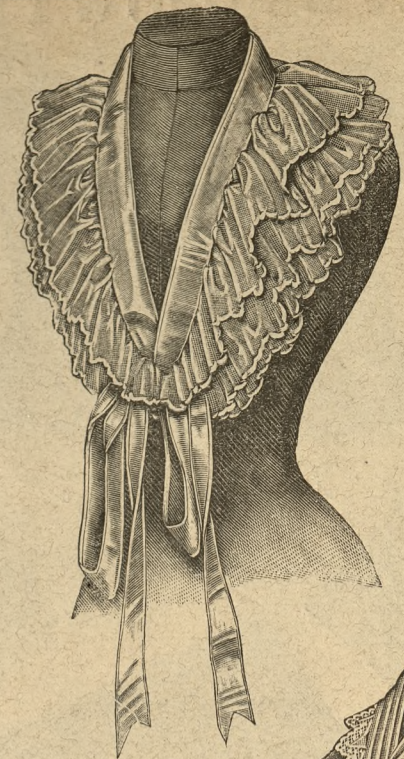
Pałtocik dla panienki od 14—16 lat.

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 2. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 43—49).

Pałtocik z granatowego wełnianego materyału podszyty fanelką ponsową i z kołnierzem z baranków popielatych. Z tychże baranków mufka i czapeczka. Skrajać po dopełnieniu złożenia fig. 43 z materyału granatowego fig. 43—46, 48 i 49 po dwie części. Wykonać w przednich częściach wzdłuż podwójnej linii nacięcia, w które wszyć kieszonki. Zaopatrzyć podszewką z ponsowej fanelki przednie części, plecy i napierśnik, klapki zaś i rękawy ponsowym atlasem. Zeszyć plecy i przednie części podług cyfr, wykonać zaszewki od 22 do 23 i przyszyć klapki na kieszeniach od * do dwukropka, następnie obłożyć wewnętrzny górny brzeg pałtocika na 10 cent. podkładem i materyałem a dolny na 5 cent., wyciąć w tem



Nr 26. Suknia z materyału wełnianego w kraty (Op. odwr. str. tabl.)



Nr 18. Chusteczkowy kołnierz z mułu i repsowej wstążki.

miejsu fanelę, wszyć kołnierz od 26 do 30, obłożyć takowy podług ryciny barankiem i wyłożyć obydwie części wzdłuż kropkowanej linii. Po przyszyciu guzików i odpowiednich dziurerek podług ryciny, przyszyć napierśnik do ramion od 28 do †. Zeszyć wierzchnie części rękawów ze spodniemi od 31 do 33 i od 33 do 34 przybrać guziczkami i wszyć w pałtocik, trafiając na 34 w 34 przednich części.



Nr 20. Chusteczkowy kołnierz z jedwabnego mułu.

Pudełeczko na chusteczki.

Rycina Nr 6.

Pudełeczko ze skóry groszkowanej koloru popielatego z bokami wachlarzowato urządzonymi



Nr 14—17. Wachlowe i wieczorowe.

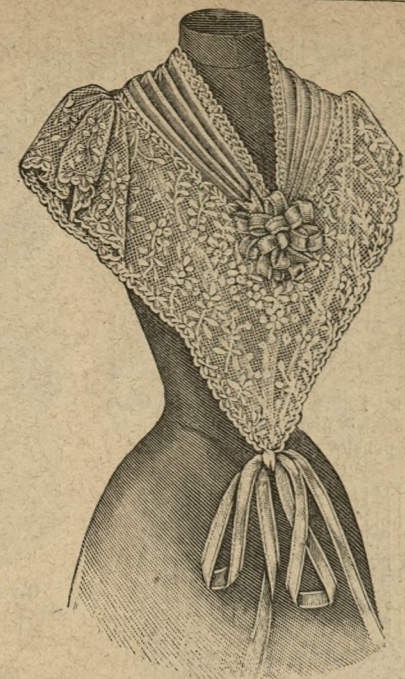


Nr 24. Suknia balowa z atlasu i tiulu jedwabnego (Opis pierw. str. tabl.)

z brzegiem i zapięciem niklowem. Stanik i rękawy pokryte materyałem adamaszkowym koloru lososiowego na upierśniku i przeczonym. Kołnierz wykonany z materyału jedwabnego i zółtawego, ozdobiony haftem wykonanym tegoż koloru kordonkiem i otoczony z cienkiego jedwabiu. Wzór ściegu na dziecinne napierśnik na odpowiedniej ilości założony

Nr 25. Suknia balowa z atlasu i tiulu (do ryc. Nr 11). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 51—55.

netrzna przyozdobiona haftem wykonanym z materyału adamaszkowego koloru lososiowego na upierśniku i przeczonym. Kołnierz wykonany z materyału jedwabnego i zółtawego, ozdobiony haftem wykonanym tegoż koloru kordonkiem i otoczony z cienkiego jedwabiu. Wzór ściegu na dziecinne napierśnik na odpowiedniej ilości założony



Nr 19. Chusteczkowy kołnierz z koronki i wstążki. (Kr. op. pierw. str. tabl. Nr. IV, fig. 29 i 30).



Nr 21. Przybranie na stanik z „crêpe lisse“ i koronki.

oczko zwyczajne. — Powtarzać ciągle na przemian 2-gą i 3-cią kolej.

tam i na powrót ścieg następujący: 1 kolej: zwyczajnie. — 2 kolej: 1 ocz. zebrać na drut, potem ciągle na przemian: 1 ocz. odwrotnie, następnie ocz. tak zebrać, jakby odwrot. przeciągnąć nitkę po za zebranych oczkiem do następnego oczka, następnie 1 oczko odwrotnie. — 3 kolej: oczka zebrać na drutach, potem ciągle na przemian 1 o. zwycz., następ. zebrać jakby odwr. nitkę przeciągnąć przed ocz. zebranych do następnego oczka, następnie 1 oczko zwyczajne. — Powtarzać ciągle na przemian 2-gą i 3-cią kolej.



Nr 23. Kostium przedstawiający „motyla.“ (Opis pierw. str. tabl.)

Koroneczka do bielizny wykonana szydełkiem.

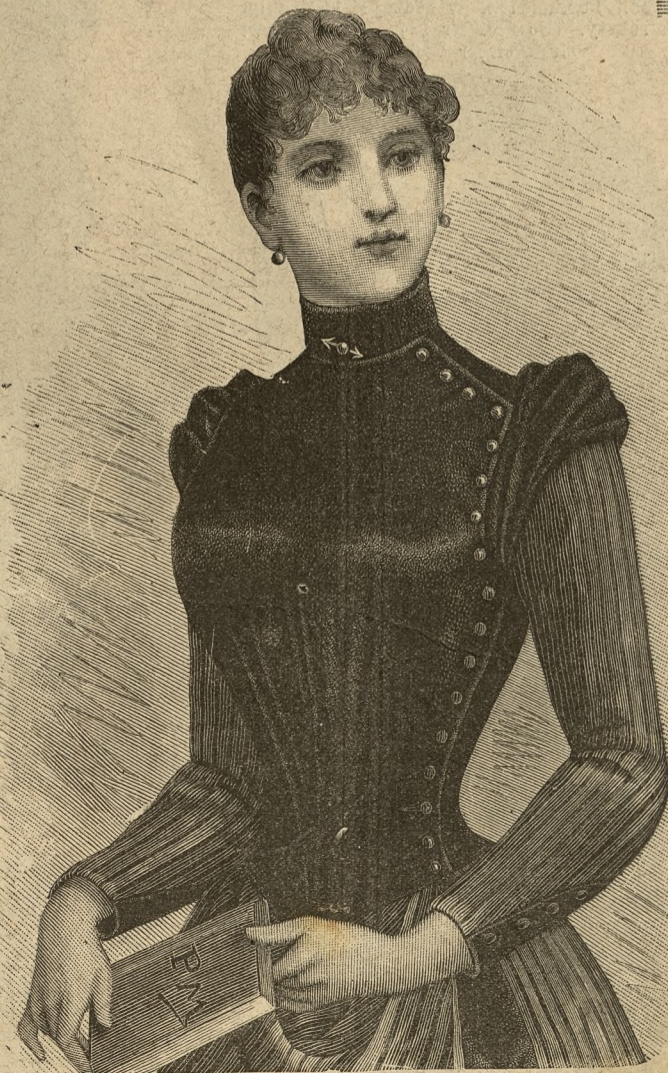
Rycina Nr 10.

Koroneczka wykonana w poprzek krętą bawełną na założeniu 15 oczek, i w dolnym brzegu otoczona wzdłuż jedną koleją: 1 kolej: oczko opuścić, 10 ścis. ocz. w następ. 10 ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 4 z rzędu ocz. — 2 kolej: 7 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe następ. 3 pow. ocz., 3 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, 8 ścis. ocz. w tylnie żyłki następnych 8 ścis. ocz. — 3 kolej: 1 pow. ocz., 10 ścis. ocz. w tylnie żyłki następnych 10 ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. oczek w 4 z rzędu ocz. Powtarzać ciągle naprzemian 2 i 3 kolej. Dolny brzeg otoczyć jak następuje: ciągle 4 ścis. ocz., z których dwa środkowe przedzielone pikotem z 4 pow. ocz. i 1 ścis. oczka w 1 z tychże.

Serwetka na suknie dziurkowanym. Ścieg krzyżowy, atłaskowy, gałązkowy i pocztowy.

Rycina Nr 13 i 5. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 62 i 63).

Serwetka na suknie koloru oliwkowego ozdobiona haftem wykonanym rozmaitego koloru filozelą, zaopatrzona lekką podszewką i otoczona jedwabną pasmanteryjną frendzlą. Figurę 62, która przedstawia 4 część szlaku przenieść na sukno, jako też fig. 63 z uwzględnieniem ryc. Nr 5. Następnie w odstępach 1/2 cent. sukno dziurkować, i wykonać kwiatki i pęczki rozpolowioną filozelą w kilku cieniach koloru niebieskiego i terracota ściegiem krzyżowym, kielichy zaś kwiatów jedwabiem koloru brązowego wypełniać ściegiem atłaskowym i otaczać gałązkowym tegoż samego koloru jedwabiem. Liście części



Nr 27. Suknia z aksamitu i materyału jedwabnego w pasy. (Krój i op. pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—10).

oliwkowe, częścią zielone, arabeski zaś brązowym w kilku cieniach jedwabiem krzyżowym. Gałązki zielonym. Wstążkę w szlaku wypełnić jedwabiem brązowym ścięciem pocztowym, jagódki zaś po rogach jedwabiem koloru „heliotrop“ Następnie otoczyć figury ciemną nitką kordonku odpowiedniego koloru, mocując takowy ścięciem o brzucałym cieńszym jedwabiem. Środki kwiatków wykonać ścięciem supelkowym jedwabiem brązowym (patrz ryc. Nr 5).

Kołnierzyk chusteczkowy z jedwabnego mulu i repsowej wstążki.

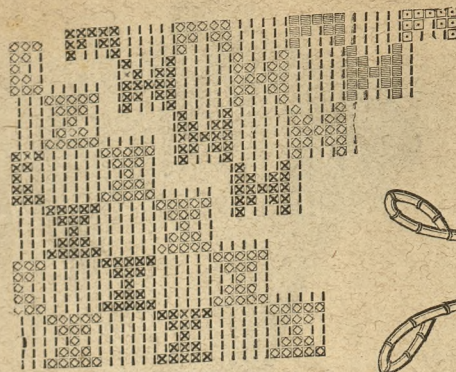
Rycina Nr 18.

Wstążka repsowa jedwabna koloru białego 78 c. dełkiem do ozdoby kołnierzyka, a 6 cent. szer., do rzyków i sukien (do ryc. Nr 37), której należy przyszyć dwie falbany jedna na drugiej 10 cent. szer. a 240 cent. długości, zakończone w dolnym brzegu ząbkami dzierganymi jedwabiem. Kokarda z końcami z wstążki 3 cent. szer. wykończa całość.

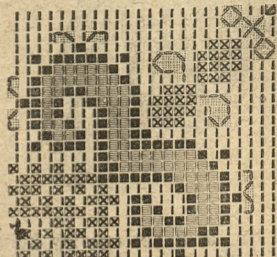
Kołnierzyk chusteczkowy z jedwabnego mulu.

Rycina Nr 20.

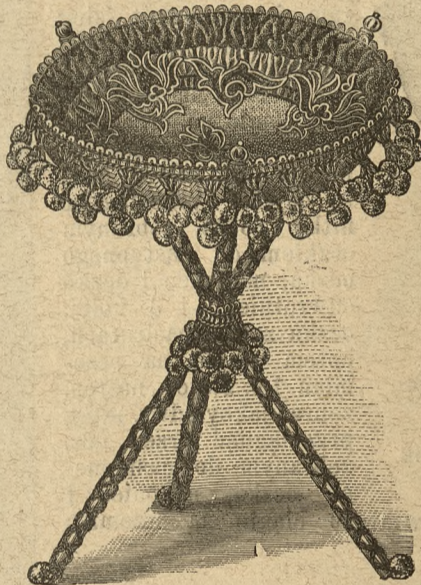
Skrajać część mulu 110 cent. dług. a 50 cent. szer., jedną długość wyciąć w zęby 3½ cent. głębokości i obszyć takowe koroneczką 2½ cent. szerokość. Ułożyć prostopadłe fałdy w rodzaju chusteczki. Część środkową ułożyć w rodzaju żabotu z dwóch części mulu 58 cent. dług. a 13 cent. szer. również w zęby wycinane i koroneczką oszyte. Około szyi przyszyć wstążeczkę białą 1 cent. szer. a 56 długości do przewiązania żabotu.



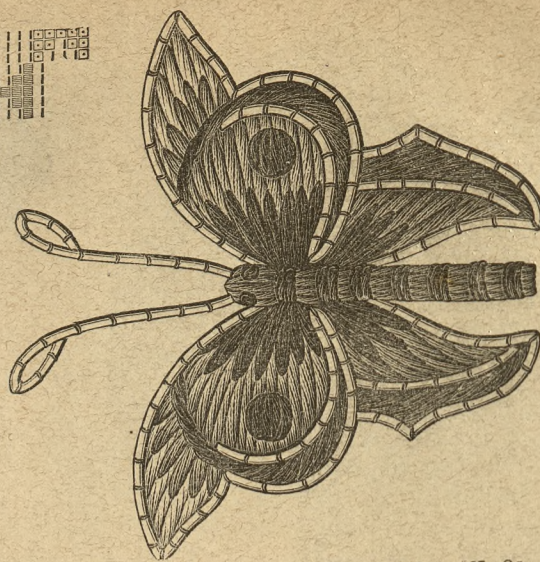
Nr 29 i 30. Deseń na serwetkę Nr 33. * piaskowy, □ niebieski, ■ ponsowy, □ oliwkowy, ' tło.



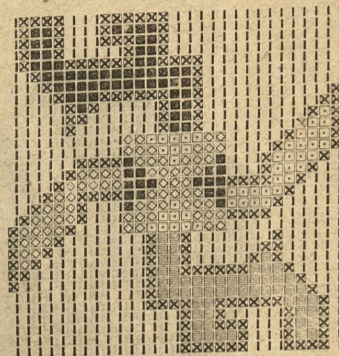
Nr 31. Deseń na serwetkę Nr 33. ■ ciemno-ponsowy, □ niebieski, * oliwkowy, ' tło.



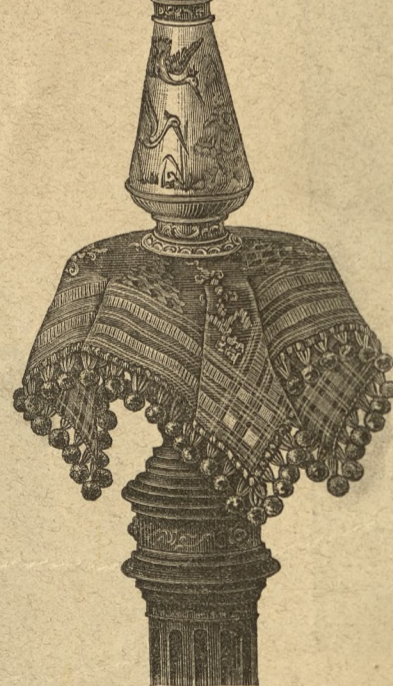
Nr 35. Postumencik w rodzaju japońskim na roboty. (Do ryc. Nr 34). Deseń pierw. str. tabl. Nr V fig. 31.



Nr 34. Motyl do postumenciku na roboty Nr 35.



Nr 32. Deseń na serwetkę Nr 33. ■ piaskowy, * kolor sezonowy, □ niebieski, ■ ponsowy, □ oliwkowy, ' tło.



Nr 33. Serwetka ozdobiona haftem (do ryc. Nr 29—32).

Przybraniestanika z „crêpe lisse“ i koronki.

Rycina Nr 21.

Ubranie zastosowane do stanika gładkiego wyciętego w kwadrat z „crêpe lisse“ koloru żółtawego tegoż koloru atlasowej wstążki i czarnej koronki.

Przepisy gospodarskie.

Pierozki kruche z jabłkami.

Funt mąki, 2 żółtka, a jedno całe jajko, 2 łyżki smietanki, ćwierć funta cukru i kieliszek mały araku, zagnieść i zawalkować jak najcieniej. Zrobić marmoladę z jabłek winkowatych, krajając je jak najdrobniej, aby się prędko zrobiła, gdy ostygnie układać kupki na cieście, jak pierogi zawijać i wykrawać kieliszkiem, bo muszą być małe. Rozgrzać w rondlu fryturę, lub gdy jej nie ma szmalcu, wrzucać na gorący pierozki i smarzyć jak pączki po kilka razem, wyjmując posypywać natychmiast cukrem: — próbować kawałeczkiem ciasta, czy tłuszcz jest dość gorący, jeżeli syce w około ciasta zrucone go i rumieni się, to ma dosyć. Można tak samo nadziewać konfiturami, ale osączonymi z syropu lub gęstą bardzo marmoladą.

L. C.

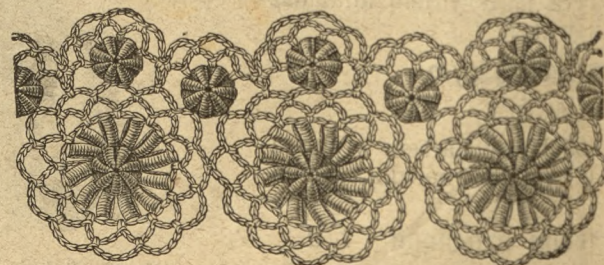
Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa „purée.“
2. Sztukamięsa biała zapiekana z bismamelem.
3. Potrawa z pulard z pieczarkowym sosem.
4. Zając z buraczkami lub kompotem kwaśnym.
5. Budyń orzechowy.

Opisanie rycin: Nr. 1 i 2, 14 i 17, 28 i 37, 29—33, 35 i 34 w przyszłym numerze.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów.



Nr 37. Szlaczek wykonany szydełkiem odpowiedni do zęba Nr 27.



Nr 36. Czarna część serwetki. Ścieg: płaski, gałązkowy i pocztowy.